ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 12 (147) • Grudzień 2018 • Cena 3,00 zł

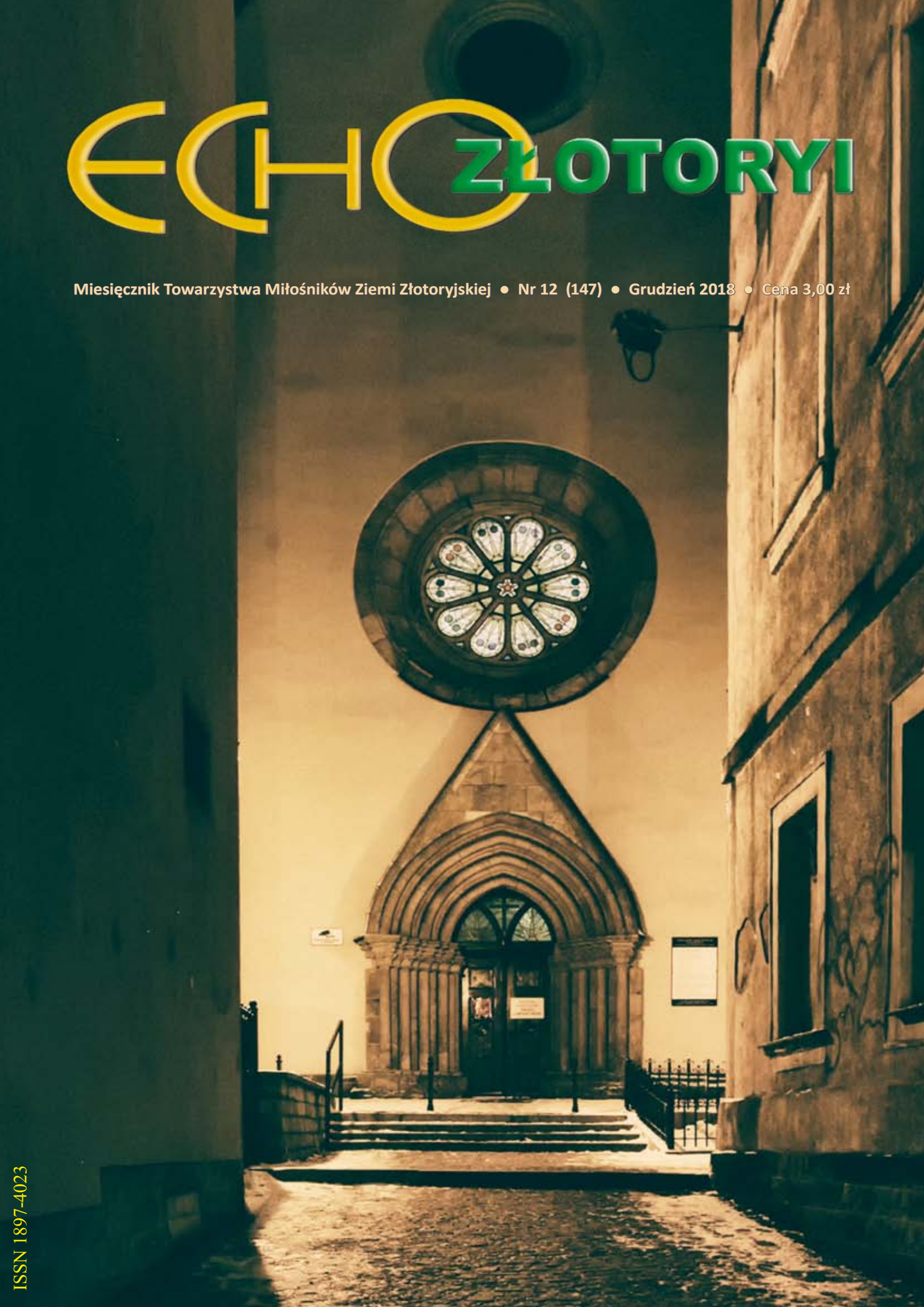

ISSN 1897-4023

Daniel Romańczyk w Changwon w Korei

Puchar Europy w Zagrzebiu

„Nie jestem zdolny, ciężko pracuję”

W 2018 r. złotoryjski Klub Strzelecki „Agat” obchodzi dwudziestolecie swojego istnienia. Jest to rocznica symboliczna, bo sankcjonująca jedynie formalny zapis w rejestrze stowarzyszeń w KRS z 28 lutego 1998 r.

Tak naprawdę to rozpoczynali: *„jako sekcja strzelecka na początku lat siedemdziesiątych przy Lidze Obrony Kraju. Wówczas sekcja nie posiadała broni wyczynowej ani obiektów strzeleckich. Dzięki własnemu zaangażowaniu oraz wsparciu ówczesnych władz samorządowych w 1974 roku adaptowano tzw. „Kukułkę” na strzelnicę do strzelań kulowych przy ulicy Legnickiej. W latach 1980 – 1983 przy wsparciu Totalizatora Sportowego oraz zaangażowaniu zawodników i sympatyków, a także złotoryjskich zakładów pracy obiekt rozbudowano, tworząc kompleksowy zespół strzelnic, na którym można trenować i organizować zawody z karabinku i pistoletu sportowego.”* Natomiast: *„o wiele dłuższa i bardziej skomplikowana była historia strzelnicy do strzelań z broni pneumatycznej. Treningi odbywały się w różnych miejscach, między innymi w świetlicy Zespołu Szkół Zawodowych, na strychu Komendy Policji oraz na strychu w budynku LOK”*. Aż wreszcie: *„Nieustanne kłopoty lokalowe oraz brak wsparcia władz LOK zmobilizowały nas do podjęcia działań w kierunku usamodzielnienia się i założenia profesjonalnego klubu strzeleckiego. Inicjatorem pomysłu był wieloletni działacz i trener Klubu Józef Zatwardnicki. W 1998 roku przy wsparciu Prezesa Dolnośląskiego Związku Strzelectwa Sportowego Krzysztofa Jamroza nasza inicjatywa została sfinalizowana. Klub został zarejestrowany w sądzie pod nazwą „AGAT” i otrzymał osobowość prawną. Dzięki życzliwości władz samorządowych otrzymaliśmy przy pl. Lotników Polskich trzy pomieszczenia po hurtowni i magazynach, które adaptowaliśmy na potrzeby klubu. Tak powstała strzelnica wraz z zapleczem oraz siedziba AGAT-u.”*

Tyle możemy przeczytać na stronie internetowej klubu. Już z tej krótkiej informacji dowiadujemy się, że czynnikami, które zapewniły sukces były: *„własne zaangażowanie, inicjatywa, mobilizacja, praca zawodników i sympatyków, trochę życzliwości i wsparcia władz samorządowych oraz Józef Zatwardnicki”*. W sierpniu na oficjalnych obchodach dwudziestolecia KS „Agat” sukces ten był podkreślany przez wszystkich zaproszonych gości, w tym m.in. prezesa PZSS Tomasza Kwietnia i prezesów zaprzyjaźnionych klubów strzeleckich polskich i czeskich. Sam wiceprezes Józef Zatwardnicki podkreślił osiągnięcia klubu, takie jak: cztery szkoleniowe grupy młodzieżowe; organizacja szkoleń na patent strzelecki; cykliczne zawody, które mają status zawodów klasyfikacyjnych PZSS; udział zawodników klubu w zawodach o randze światowej. Wymienił także nazwiska 10 zawodników, z których klub jest dumny. Wśród nich na wyróżnienie zasłużyły dwie osoby: Daniel Romańczyk i Martyna Piersiak, reprezentantka Polski i medalistka w kategorii pistolet pneumatyczny.

Martyna musiała niestety ograniczyć swoje treningi ze względów rodzinnych.

A Daniel? Daniel właśnie położył wisienkę na „torcie dwudziestolecia”, zdobywając srebrny medal w konkurencji strzelania z karabinu w pozycji leżącej na dystansie 300 m, na Mistrzostwach Świata w Strzelectwie Sportowym. Mistrzostwa te odbyły się we wrześniu w Changwon w Korei Południowej.

Z wicemistrzem świata spotykam się w jego firmie w Legnicy. Nowoczesny przeszklony budynek, duży parking i biuro otwarte na klientów. Jedyne drzwi z napisem „Zakaz wstępu osobom nieupoważnionym” prowadzą do hali produkcyjnej. ***– To ze względu na przepisy RODO*** – tłumaczy.

Daniel (33 l.) jest legniczaninem i przedsiębiorcą, nie jest myśliwym i nie kolekcjonuje broni.

- W liceum mieliśmy zajęcia w legnickim oddziale LOK. To był mój pierwszy kontakt ze strzelaniem, szło mi dobrze i po prostu polubiłem to. Potem usłyszałem o złotoryjskim klubie i tam zacząłem treningi. Nie było łatwo wtedy dojeżdżać i wracać ze Złotoryi. Ale było warto, bo nigdzie nie ma takiego trenera jak Józef Zatwardnicki. To między innymi dzięki jego uwagom i doświadczeniu zostałem młodzieżowym mistrzem Polski w strzelaniu z karabinu.

Jak wiadomo „nie od razu Kraków zbudowano”, specjalizujący się w strzelaniu z karabinu Daniel Romańczyk - rekordzista Polski, zanim został drugi na świecie, był oczywiście także trzeci (w pucharze świata w New Delhi w 2017 r.). Daniel zdobył też drużynowy brązowy medal w pucharze Europy w Thun (2017 r.), srebrny medal na mistrzostwach Polski w konkurencji karabin centralnego zapłonu na 300 m i brązowy w konkurencji karabin dowolny 60 strzałów leżąc. Przed wyjazdem do Changwon złoto na Mistrzostwach Polski oraz srebrny medal na Pucharze Europy w Estonii. Daniel posiada międzynarodową mistrzowską klasę sportową. Na ponad 300 zawodników zajmuje 30 miejsce w rankingu „Medalistów Igrzysk Olimpijskich, Mistrzostw Świata i Mistrzostw Europy w strzelectwie sportowym” prowadzonym przez Polski Związek Strzelectwa Sportowego (PZSS). Natomiast w październiku br. był drugi w finale Pucharu Europy w Zagrzebiu. A należy pamiętać, że:

„Strzelnica w Zagrzebiu nie należy do przyjemnych, bowiem usytuowana jest w wąwozie pomiędzy dwoma górami, gdzie wieje zmienny, mocny wiatr. Ma duży wpływ na uzyskiwane wyniki, gdyż zmienia trajektorię lotu pocisków.” [1] – tak wyjaśnia Andrzej Burda, który zajął tam 10. miejsce w Finale Mistrzostw Europy w 2016 r., wyprzedzając wtedy Daniela o 9 pkt.

- Po liceum, kiedy studiowałem we Wrocławiu, miałem przerwę w treningach. Musiałem skupić się na nauce. W międzyczasie dużo pracowałem. To były początki własnej działalności gospodarczej i było dosyć ciężko. Ostatecznie studiów nie ukończyłem. Dziś z perspektywy czasu żałuję. Zawsze pasjonowała mnie ekonomia. Ale wyszło jak wyszło. Gdy wracam myślami do tamtych czasów, dochodzę do wniosku, że miały spory wpływ na to, jakim człowiekiem dziś jestem. Ultraszybki styl życia, notoryczny brak czasu na wszystko, konieczność podejmowania dobrych decyzji natychmiast - to kształtuje charakter. Jednak mimo tego wiecznego braku czasu na wszystko, strzelectwo ciągle krążyło w moich żyłach. Wyjazd na strzelnicę „raz do roku” był w pewnym sensie odskocznią. Ładowałem w ten sposób baterie. Na parę godzin izolowałem się od całego świata. Byłem tylko ja, karabin i cel 50 metrów dalej. Do złotoryjskiego klubu na regularne treningi powróciłem dopiero parę lat temu. Dzisiaj to wszystko wygląda inaczej. Treningi są profesjonalne, przemyślane, zaplanowane. Dzięki mojej najbliższej rodzinie - Rodzicom i Bratu, którzy zawsze mnie wspierali, mogę poświecić na nie więcej czasu. W Korei na przykład byłem prawie dwa tygodnie. Tam potrzebna była aklimatyzacja. Trzeba było pokonać różnicę czasu i zwracać uwagę na to, co się je.

Niewiele wiem o zawodach strzeleckich, proszę więc Daniela, by uchylił rąbka tajemnicy.

- Mistrzostwa w Changwon trwały od 31 sierpnia do 19 września. Najpierw były eliminacje, a potem finały. Ja startowałem w dwóch konkurencjach – karabin dowolny 60 strzałów leżąc na dystansie 50 oraz 300 metrów. W małym kalibrze (50m) zająłem 19. miejsce. Niby bez szału, ale nie o miejsce tu chodzi. Chodzi o osiągnięcie wysokiego wyniku na tarczy. Mój mnie satysfakcjonował, bo był taki, na jaki było mnie w danym momencie stać. Zrobiłem „swoją robotę”, a 19. miejsce dlatego, że po prostu inni byli lepsi lub dopisało im większe szczęście, szczęście, które mnie nie opuściło na strzelnicy 300 - metrowej. 592 pkt. w trudnych, zmiennych warunkach okazały się być bardzo wysokim wynikiem.

cd. na str 4

Spotkanie z ministrem sportu

Daniel Romańczyk z rodzicami

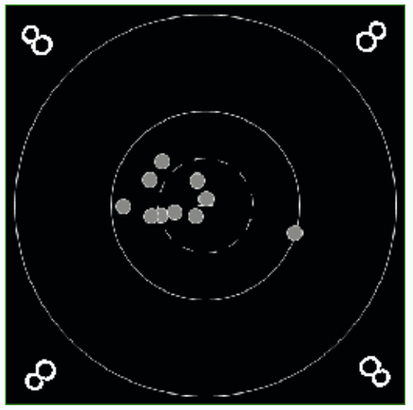
Najlepsza tarcza z sześciu w serii w Changwon

Tak się z nami skontaktujesz...

Redakcja Echa:
internet: www.tmzz.pl
www.facebok.com/echo.zlotoryi
email: echo@tmzz.pl
Spotkanie Redakcji Echa
(w poniedziałki 17.00-18.00)

Stowarzyszenie TMZZ:
internet: www.tmzz-zlotoryja.pl
(sprawdź też na facebooku)
email: tmzz@tmzz-zlotoryja.pl
tel.: 76 8788137

Na tych zawodach Danielowi niewiele zabrakło do pierwszego miejsca. Słoweniec Rajmond Debevec, który zdobył złoty medal, miał tyle samo punktów (592), ale więcej razy trafił w dziesiątkę wewnętrzną. To „stary wyjadacz" o 22 lata starszy od naszego mistrza.

- Moja zwycięska konkurencja to karabin na 300 m z postawy leżąc. - Widząc moją „karpiową" minę, tłumaczy dalej – ***Ogólnie są cztery kategorie: pistolet, karabin, strzelanie do rzutek i ruchoma tarcza. Dzielą się potem na różne konkurencje: wiek, dystans, rodzaj broni (kulowa, pneumatyczna, śrutowa), postawa i płeć. Do niedawna w strzelaniu mężczyźni nie konkurowali z kobietami. Konkurencje w podziale na płeć różniły się ilością oddawanych strzałów i ciężarem broni. Kobiety miały do oddania mniej strzałów, a w strzelaniu z 50 metrów ich broń była nawet do dwóch kilogramów lżejsza. Ale kilka lat temu, pod wpływem ostatnich światowych trendów, wprowadzono tzw. kategorię mix, gdzie kobiety i mężczyźni rywalizują razem. W tym sensie, że nie ze sobą nawzajem, tylko razem w parach jako jeden team. Zrównano też parametry sprzętu oraz ilość strzałów. Co ciekawe, konkurencje mix zadebiutują po raz pierwszy na igrzyskach w Tokio w 2020. Warto powiedzieć, że na ostatnich mistrzostwach inny Polak - Tomasz Bartnik - zdobył złoto w olimpijskiej konkurencji karabinu trzy postawy na 50 m i dało mu to automatycznie przepustkę na najbliższe igrzyska. Tak naprawdę to to jest największy sukces polskiej ekipy na MŚ w Changwon. Nie sposób nie wspomnieć o multimedaliście i absolutnym hegemonie ruchomej tarczy - Łukaszu Czapli. Łukasz zdobył dwa srebrne medale. Indywidualnie brązowy medal zdobyła też utalentowana juniorka Aleksandra Szutko.***

Trzysta metrów? – mówię – Ale zgodnie z przepisami ISSF (Międzynarodowy Związek Strzelectwa Sportowego) czarne pole na tarczy ma średnicę 60 cm a dziesiątka wewnętrzna znajdująca się w środku tarczy ma średnicę 5 cm. Moim zdaniem z tej odległości celu nie widać.

- Widać – krótko i zdecydowanie odpowiada wicemistrz świata. Nie kłócę się z nim. W końcu to ja mam przepisane, „ze względu na wiek" jak mnie zapewniał mój okulista, dwie pary okularów: do oglądania i do czytania. No właśnie, ale taki karabin może ma lunetę?

- Mój akurat nie. Strzelamy z przyrządów mechanicznych. Dzisiaj karabiny sportowe nie wyglądają tak, jak jeszcze dziesięć - piętnaście lat temu. Karabin ewoluował, albo raczej to producenci zaczęli rozbudowywać swoje konstrukcje, dodając tam mnóstwo możliwości. Teraz dobry karabin można dopasować do własnego ciała, tak go ustawić, żeby nic nie uwierało. Prawie każdy element broni można regulować i wkomponować w swoją własną najwygodniejszą pozycję strzelecką. Staje się on praktycznie częścią ciała strzelca. Stąd istnieją prawne ograniczenia w przepisach ISSF. Na przykład maksymalny ciężar do 8 kg, kaliber do 8mm (ja mam 6mm BR), dopuszczalne przyrządy celownicze (luneta tylko przy ruchomej tarczy), długość lufy itd. Ja akurat mam własny karabin i nie korzystam z klubowego sprzętu.

Wyjąłem notatnik oraz długopis i gotowy do spisania recepty zadałem kluczowe pytanie: Jak zostaje się jednym z najlepszych strzelców na świecie?

- Strzelectwo sportowe to sport indywidualny, są oczywiście konkurencje drużynowe, ale tylko ty odpowiadasz za strzał. Tutaj nie ma, jak gdzie indziej, puli mistrzowskich nazwisk. O sukcesie decyduje bardzo dużo czynników. Na początku, na zawodach międzynarodowej klasy, dla mnie i dla wielu moich kolegów paraliżujące było to, że obok ciebie stoją i strzelają najlepsi z całego świata. Ta myśl „Cały Świat" powoduje, że człowiek czuje się już na samym starcie niepewnie. Dlatego trzeba stać się „bezczelnie pewnym siebie".

Gdzieś czytałem, że: „wbrew pozorom do strzelania nie jest niezbędne „celne oko". Ważniejsza jest umiejętność koncentracji i swobodnego oraz równomiernego wyciskania spustu" [2]. A Tomasz Bartnik w Changwon powiedział: „Zawsze byłem zdolny do trafiania w dziesiątki. Ale na zawodach stawałem się nerwowy, zestresowany i chybiałem". No to jak być bezczelnie pewnym siebie?

- To szczególna cecha charakteru, która pozwala skupić się na pracy i spokojnie wykorzystać swoje umiejętności nabyte w trakcie ciężkiego treningu. Ja jadę na zawody nie po to, żeby wygrywać. Nie strzelam dlatego, że coś muszę, bo ktoś czegoś ode mnie oczekuje. Po prostu to lubię, robię swoją robotę, robię to, czego nauczyłem się na treningach. Jak to osiągnąć? Opowiem Ci pewną historię. Mistrzostwa Europy, Baku 2017, jest lipiec, potwornie gorąco, a na zewnątrz wieje porywisty wiatr, ale taki, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Istne szaleństwo. Strzelam fatalnie, nic nie idzie, jak powinno. Po konkurencji mówię do siebie – niestety w takich warunkach nie da się lepiej. Jednak zaraz po konkurencji mężczyzn strzelały kobiety. Drużyna w składzie: Paula Wrońska, Sylwia Bogacka oraz Karolina Kowalczyk zdobyły srebrny medal drużynowo. Przez chwilę miałem okazję obserwować Karolinę, która strzela dychę za dychą jak nakręcona. Po pewnym czasie, gdy ją spotkałem, zapytałem się jej, jak Ty to zrobiłaś? Odpowiedziała krótko: „Słuchaj, najgorsze, co możesz zrobić w takim momencie, to wmówić sobie, że się nie da". Natychmiast uświadomiłem sobie, że wtedy nie przegrałem przez wiatr, tylko przez to, że zaszczepiłem w swojej głowie myśl, że w takich warunkach się nie da. Po prostu, w sporcie, jak i w życiu wygrywają Ci, dla których szklanka jest do połowy pełna. Tego trzeba się nauczyć.

Pytasz, jak wygląda trening? Trenuję przed zawodami pół roku, rok, bardzo ciężko. Dojazdy do Złotoryi są kłopotliwe przy moim braku czasu. Samo przygotowanie do strzału, choćby złożenie karabinu, zabiera go dużo. Więc ważnym elementem są dla mnie treningi w domu. Nie, nie mam tutaj strzelnicy! – *znowu się uśmiecha na widok mojej miny* – ***Ale mogę tu trenować „na sucho". Co? Motorykę, rozluźnianie mięśni, całą pamięć mięśniową. Wyciągnij rękę przed siebie i zaciśnij pięść.*** – robię co każe, po kilku sekundach moja ręka zaczyna drgać – ***Zawsze tak jest. Organizm musi zapamiętać wysiłek fizyczny, przyzwyczaić się do niego i odpowiednio dostosować. To można trenować w domu. Ale, jak mówiłem wcześniej, na dobry strzał składa się wiele czynników. Na przykład ułożenie ciała. Tutaj ważny jest doświadczony trener, taki jak Józef Zatwardnicki w Złotoryi. On tylko spojrzy na ciebie i już wie, co poprawić. Kiedyś na strzelnicy wszystkie moje strzały znosiło na lewo. Robiłem wszystko jak trzeba, mierzyłem, wyciskałem prawidłowo spust, a kule jedna za drugą szły w bok. Aż nagle poczułem, że ktoś delikatnie kopie mnie w kostkę. To oczywiście trener Zatwardnicki. „Wyprostuj ją" mówi. Ułożyłem stopę prosto i rzeczywiście kule zaczęły trafiać w cel. Nie jestem zdolny, po prostu ciężko pracuję.***

Kiedy mówi, patrzy mi w oczy, ale nie w sposób deprymujący rozmówcę. Nie czuję się przez to zakłopotany. Kiedy ściska dłoń, robi to pewnie, a przez ten uścisk naprawdę czuję jego kontrolowaną siłę i niezwykłą energię.

Daniel co chwilę startuje w różnych zawodach, dlaczego te akurat były takie ważne?

- Zawodów rzeczywiście jest dużo. Najważniejsza różnica w ich randze polega na tym, że Puchary Świata organizowane są trzy – cztery razy do roku, a Mistrzostwa Świata tylko raz na cztery lata. Jaka była reakcja na mój sukces po powrocie z mistrzostw? Nie, nie było wizyt w zakładach pracy – śmieje się Daniel – ***zresztą nie po to startuję w zawodach. Było miłe przyjęcie na lotnisku, sesje zdjęciowe, było spotkanie u Ministra Sportu, od którego otrzymałem stypendium. Dostałem też nagrodę od PZSS. Klub zorganizował specjalną uroczystość z obecnością władz miasta.***

Moim zdaniem to niewiele, ale strzelectwo nie jest sportem szczególnie medialnym. O jego sukcesie znalazłem raptem kilka wzmianek na portalach tematycznych.

- Teraz staram się promować w szerokich kręgach strzelectwo sportowe, dyscyplinę, która przeżywa obecnie swój renesans. – podsumowuje wicemistrz świata.

Dziękuję Danielowi za poświęcony mi czas i życzę mu kolejnych sukcesów, na które liczymy także my, złotoryjanie.

Z Danielem Romańczykiem rozmawiał
Jarosław Jańta

Fot. Międzynarodowa Federacja Sportu Strzeleckiego - ISSF

Daniel Romańczyk w Changwon w Korei

1. (https://nto.pl/strzelectwo-rekord-zyciowy-i-wysokie-miejsce-andrzeja-burdy/ar/10786498).
2. https://pl.wikipedia.org/wiki/Strzelectwo.

„Jak to z Janem Bo było"

Złotoryja znowu jest pierwsza. Jako pierwsza w Polsce uzyskała prawa miejskie, tylko tu jest widok na pół wulkanu, to tylko tu jest rezerwat geologiczny z „bazaltową różą". To pierwsze miasto z własnym filmem fabularnym, nakręconym na podstawie powieści złotoryjanina i zrealizowanym przez mieszkańców. Tylko tu organizuje się „Festiwal Filmów Dolnośląskich". To, w czym Złotoryja jest pierwsza albo góruje, można by wymieniać i wymieniać. Od niedawna została pierwszym miastem z hejnałem zaaranżowanym i zagranym przez prawdziwą gwiazdę najwyższej klasy. Od 7 grudnia br. hejnał złotoryjski rozbrzmiewa z kościelnej wieży, grany na gitarze przez Jana Borysewicza.

Jak to z hejnałem było? Tego roku lato było niezwykle upalne. Wszystkie okna w budynku złotoryjskiego urzędu miejskiego były pootwierane albo wręcz przeciwnie. Nawet w pokojach, gdzie działała klimatyzacja. Codziennie, dokładnie w południe, pracujący urzędnicy słyszeli rozbrzmiewający z wieży kościoła Mariackiego złotoryjski hejnał. Wśród nich byli także pracujący na poddaszu Piotr Rewig, miejski informatyk oraz Ania Ardelli, naczelnik Wydziału Spraw Społecznych. Pewnego dnia analityczny, lubiący wyzwania, umysł Piotra zareagował na powtarzalną monotonność tego utworu. „Dlaczego nie?" powiedział i podzielił się swoim pomysłem z koleżanką Anią. Pomysł był taki, żeby „przebrzmiałą" w pewnym sensie trąbkę, na której hejnał był wykonywany, zastąpić bardziej nowoczesnym instrumentem, a w ogóle to niech go zagra ktoś naprawdę znany. Ktoś, kim Złotoryja będzie mogła się pochwalić, a może (kto wie?) dla kogo turyści będą specjalnie przyjeżdżać do naszego miasta, żeby posłuchać wyjątkowego i oryginalnego wykonania hejnału.

Przy wstępnej selekcji kandydatury Santany i Hendrixa odpadły z tej prostej przyczyny, że jeden jest słabo dostępny a drugi po prostu nie żyje. Piotrek od zawsze był fanem polskich zespołów, zwłaszcza jednego „Lady Pank".

– To od czasu, gdy usłyszałem wydany w 1994 r. album „Na na" i pojechałem na pierwszy zlot fanów „LP" w Olecku. Pokochałem ich teksty i muzykę Jana Borysewicza. Czy wiesz, że to samouk? Pierwsze chwyty na gitarze pokazywał mu jego brat, który bardzo wcześnie tragicznie zmarł. Kiedy założyciel zespołu „Lady Pank" miał 15 lat, usłyszał go angielski bluesman Alexis Korner i chciał zabrać ze sobą do Anglii, ale rodzice się nie zgodzili. Jan Bo Komponował muzykę, pisał teksty i grał nie tylko z „LP", ale też z Irkiem Dudkiem, „Budką Suflera", Tadeuszem Nalepą, Grzegorzem Ciechowskim, Janem Hołdysem i wieloma innymi gwiazdami polskiej sceny rockowej. Jego kariera trwa prawie nieprzerwanie od lat siedemdziesiątych. – wyjaśnia swój wybór Piotrek. Nie jest łatwo zmieniać, ot tak sobie, tradycje miejskie, więc Ania przede wszystkim dowiedziała się wszystkiego o naszym hejnale.

– Ten pomysł bardzo mi się spodobał. – mówi Anna – *Nasz hejnał i jego obecne wykonanie nie jest związane ze szczególnym wydarzeniem czy inną wartością emocjonalną, związaną z miastem. Po prostu w latach 70. miasto ogłosiło konkurs na skomponowanie złotoryjskiego hejnału. Wybrano propozycję Radomira Reszke wykładowcy z Akademii Muzycznej we Wrocławiu.*

Po zaakceptowaniu tego projektu przez burmistrza zaczęły się negocjacje.

Odpowiedź na pierwszego maila przyszła już po tygodniu. Wzbudziła nadzieję na dobre i szybkie zakończenie sprawy. Pomysł spodobał się menadżerowi Jana Borysewicza, ale (co ważniejsze) także samemu artyście. I tu zaczęły się schody.

– Chcieliśmy, żeby „złotoryjskość" hymnu została. – mówi Piotrek – W naszym archiwum mamy zapis oryginalnych nut, które wysłaliśmy menadżerowi.„Jestem twórcą, a nie odtwórcą" dotarły do nas słowa Jana Borysewicza, który sam chciał skomponować dla nas nowy hejnał. Zaczęły się negocjacje. Trwały kilka miesięcy, aż stanęło wreszcie na tym, że Janek zaadaptuje utwór na gitarę i doda swój podpis w postaci charakterystycznych „riffów". Tak powstała wersja dłuższa i krótsza. Jan Bo lubi tworzyć coś nowego i dobrze mu to wychodzi. Zapalił się do naszego pomysłu właśnie dlatego, że żadne miasto nie ma jeszcze takiej wersji hejnału. Po analizie stwierdził, że autor oryginalnego wykonania, być może inspirował się hymnem USA. Przygotowywał się do pracy, ucząc się historii Złotoryi i w końcu trochę „wyprostował" nasze nuty.

Szóstego października, w samo południe, Jan Borysewicz wszedł na wieżę kościoła Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Złotoryi, ujął w ręce „czerwonego stratocastera" i z głośników popłynęła po raz pierwszy najnowsza i ostateczna wersja naszego hymnu.

– Ja biegałem dwa razy na wieżę. – wspomina inaugurację hejnału Piotrek – Kiedy byliśmy na górze, okazało się, że nie mamy wody, a wszyscy byliśmy trochę zmęczeni po wejściu. „Skoczyłem" więc na dół i przyniosłem. – śmieje się. W tym dniu w Złotoryi dużo się działo i organizatorzy z wielkim niepokojem czekali na burmistrza, który przed 12.00 miał na Rynku przywitać Jana Bo. Jak zawsze starał się on być wszędzie i oczywiście pisał też „Złote dyktando". Na dyktandzie byłem w tej samej sali, co burmistrz i obserwowałem, jak co chwilę patrzy na zegarek. Kiedy padły słowa „To było ostatnie zdanie w naszym dyktandzie", szybko pożegnał się i wyszedł z klasy. Zrobiłem to samo.

– Janek był pod wielkim wrażeniem przyjęcia w Złotoryi i reakcji mieszkańców. Nie planował spotkania z fanami i rozdawania autografów, ale to mu się nie udało. – mówi Piotrek.

Kiedy Jan Borysewicz wyszedł z wieży, przywitały go entuzjastyczne owacje i musiał chwilę z nami postać.

– Jego menadżer zrobił telefonem filmik na wieży, który zamieszczony został na fanpagu artysty i szybko obejrzało go 20 tys. internautów. To też zrobiło na Janku duże wrażenie, nie spodziewał się aż takiej reakcji. Zauważyłem, że od tej pory jego fanpage ożył. Teraz wrzuca na niego zdecydowanie więcej postów. Wiem, że dostał już kilka propozycji od innych miast, żeby i u nich powtórzyć ten projekt. Ale to jest mało prawdopodobne, bo Jan Borysewicz robi tylko unikalne rzeczy.

Zespół „Lady Pank" przyjął zaproszenie i wystąpi na najbliższych „Dniach Złotoryi".

Dłuższą wersję hejnału można usłyszeć w Złotoryi w piątki i soboty, krótszą w niedziele – także w te wolne od handlu.

Jarosław Jańta

Myśmy się na Śląsku nie certolili

Spotkanie autorskie w przedostatnim tygodniu listopada odbyło się tym razem nie w bibliotece, lecz w Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji. Książkę prezentowali: Franciszek Grzywacz – właściciel legnickiego wydawnictwa Edytor, Róża Rzepakowska – z Niemieckiego Towarzystwa Kulturalno-Społecznego oraz dr Magdalena Maruck – autorka książki, rodowita złotoryjanka, obecnie mieszkająca w Niemczech.

Podczas spotkania Franciszek Grzywacz przedstawił pokrótce niezwykle barwne losy rodziny Gretschelów, prezentując liczne fotografie starsze i nowsze, a ukochany wnuk Jürgena Gretschela Damian Stefaniak przybliżył zebranym sylwetkę swojego dziadka. Następnie głos zabrała autorka, opowiadając o pracy nad książką, która składa się z serii wywiadów.

– W kłębach dymu papierosowego Jürgen snuł opowieści o swoim życiu, przerywane przepisami o smakowitych śląskich potrawach. Łącznie nagrałam ponad 24 godziny naszych rozmów. Język mojego rozmówcy był bardzo barwny. Kiedy mówił po polsku, miał rosyjsko-niemiecki akcent, słowa polskie (nie zawsze z prawidłowymi końcówkami) przeplatał niemieckimi i rosyjskimi. Próbowałam nieco tego charakterystycznego języka w książce zachować – opowiadała na spotkaniu autorka. – Pamiętam, jak kiedyś powiedział: „Na Boże Narodzenie to myśmy się na Śląsku nie certolili, my protestanci nie mieliśmy żadnego postu i jedliśmy porządnie! Świńska dupa z kiszoną kapustą!”.

Śląskie niebo Jürgena Gretschela to niezwykle barwna i wciągająca historia jego rodziny. Bohater książki Jürgen Gretschel (7.03.1941 - 23.10.2016) to Niemiec, który po 1945 roku pozostał w Polsce i ożenił się z Rosjanką. Po wojnie najpierw nauczył się języka rosyjskiego, a gdy poszedł do szkoły, musiał opanować język polski. Przez całe dorosłe życie działał aktywnie na rzecz mniejszości niemieckiej w Legnicy.

Książka zawiera wiele wątków dotyczących naszego miasta. Jej bohater znał Złotoryję, wszak przepracował tu wiele lat swojego życia. Czytelnik może tu m.in. przeczytać o tym, jak Jürgen Gretschel wraz z ówczesnym burmistrzem Kazimierzem Zwierzyńskim, działaczem TMZZ Alfredem Michlerem i dyrektorem Liceum Ogólnokształcącego Włodzimierzem Wójtowiczem współtworzył w 1995 roku klasę dwujęzyczną polsko-niemiecką w tymże liceum.

Jürgen Gretschel był niestrudzonym działaczem na rzecz przywracania pamięci historycznego dziedzictwa ziemi dolnośląskiej w Legnicy – gdzie mieszkał oraz w Złotoryi – gdzie pracował. W ankiecie pracowniczej swojego pierwszego zatrudnienia napisał, że jest bezpaństwowcem narodowości niemieckiej, lecz w 1971 roku postawiono mu ultimatum: albo przyjmie polskie obywatelstwo, albo straci pracę. Jürgen przyjął to obywatelstwo tylko dlatego, że władze polskie zarządzały jego *Heimatem* – małą ojczyzną. Natomiast nigdy nie zapisał się do PZPR.

Książka wydana jest dwujęzycznie, po polsku i po niemiecku, zawiera wiele przepisów tradycyjnych potraw śląskich z kuchni Jürgena Gretschela (również dwujęzycznie) z barwnymi fotografiami. Niektóre z tych potraw wykonane przez Różę Rzepakowską były poczęstunkiem podczas spotkania, gdyż jak zauważa autorka, *najlepiej łączy ludzi jedzenie, ponieważ pełen brzuch powoduje, że wtedy jesteśmy najspokojniejsi i najbardziej skłonni do kompromisu*. Interesującą częścią publikacji są ciekawostki obrzędów Dolnego Śląska do 1945 roku oraz kalendarium historii Śląska, małej ojczyzny Jürgena Gretschela.

A skąd taki tytuł? Po lekturze książki wszystko się wyjaśni.

Agnieszka Młyńczak

Fot. Jan Borawski

Fot. Agnieszka Młyczak

dr Magdalena Maruck podpisuje książki

Wspomnij mnie

„Najbliższa mi jest prawda, że póki nas ktoś pamięta, wciąż żyjemy. Wspomnij mnie, choćby gdzieś w ciszy i potajemnie. Nie pozwól mi odejść.’’

Uczestnicy „Spotkania pokoleń”

Takie motto przyświecało uczestnikom projektu polegającego na spisaniu i wydaniu wspomnień o swoich bliskich. Uczniowie Szkoły Podstawowej nr 3 w Złotoryi pod opieką rodziców, dziadków oraz nauczycieli przygotowali w ciągu dwóch miesięcy 40 takich relacji. Wspomnienia udostępniło także 11 osób dorosłych. W ten sposób powstała książka **„Ocalić od zapomnienia (zbiór wspomnień na 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości)”**. Publikacja zawiera 51 wspomnień z lat 1895-1997 (100 stron i 82 ilustracje).

5 grudnia 2018 r. odbyło się „Spotkanie pokoleń” promujące wydanie książki „Ocalić od zapomnienia”. Przybyli autorzy wspomnień wraz ze swoimi rodzinami, nauczyciele, opiekunowie - redaktorzy, dyrekcja szkoły oraz przedstawiciel władz miejskich. Sala gimnastyczna przy SP3 wypełniła się po brzegi.

Spotkanie poprowadziła Wioleta Michalczyk. Dyrektor szkoły Danuta Boroch przedstawiła założenia projektu, sposób jego finansowania oraz zastosowane podczas gromadzenia materiałów metody pracy z uczniami.

Uczestnicy projektu - autorzy wspomnień o swoich bliskich

Dyrektor Danuta Boroch wręcza publikację autorom wspomnień

Występ muzyczny

Miłym akcentem spotkania był występ Igi i Hani Radkiewicz, Oliwii Maciejewskiej, Sofii Kolesnykowej, Krystyny Wynar oraz Tosi Markiewicz, które zaśpiewały piosenkę „Myślę o Polsce”. Zaś Hania Dutka wykonała pięknie piosenkę pt. „Taki kraj”.

Wiele wzruszeń wzbudziła prezentacja multimedialna stworzona ze zdjęć bohaterów publikacji, którą wzbogacono wybranymi fragmentami wspomnień czytanymi przez uczennice: Maję Maliszewską, Klaudię Wypych i Aleksandrę Wróblewską.

Dekoracją uroczystości była wystawa pamiątek i zakładek na 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości, którą przygotowała p. Magdalena Hanebach, a miłym dopełnieniem spotkania stał się poczęstunek przygotowany przez organizatorów oraz rodziców naszych uczniów.

Publikację sfinansowano z Programu Wieloletniego „NIEPODLEGŁA”, Projekt Edukacyjny „Godność, wolność, niepodległość”. Dodatkowe środki na realizację działań projektowych (w wysokości 20% kosztów) przekazał także Urząd Miasta Złotoryja.

Na zakończenie spotkania autorzy wspomnień oraz uczniowie, którzy je zbierali otrzymali publikację.

W następnym roku w SP3 jest planowane wydanie kolejnej książki „OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA”. Tym razem będzie to zbiór wspomnień z okazji 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej.

Danuta Boroch, Damian Komada

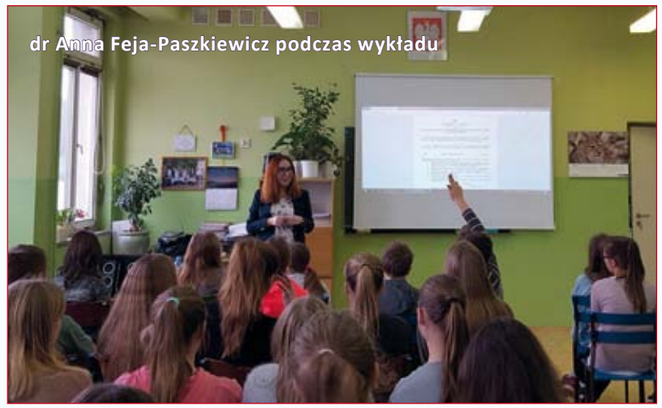
dr Anna Feja-Paszkiewicz podczas wykładu

Uczestnicy wykładu o Konstytucjach odrodzonej Polski

Wykłady o polskich Konstytucjach

7 grudnia 2018 r. odbył się w **Szkole Podstawowej nr 3** cykl wykładów pt. **„Konstytucje odrodzonej Polski - rozważania w 100-lecie odzyskania niepodległości”**. Zajęcia przeprowadziła pani **Anna Feja -Paszkiewicz** - doktor nauk prawnych, specjalność prawo konstytucyjne, adiunkt w Katedrze Prawa Konstytucyjnego, Wydział Prawa i Administracji, Uniwersytet Zielonogórski.

W wykładach uczestniczyli uczniowie klasy 8A, 8B, 8C oraz 7B, 6A i 6C (w sumie ok. 130 osób). Spotkanie z wykładowcą uniwersyteckim było niecodziennym doświadczeniem i wzbogaciło ofertę edukacyjną szkoły. Może stanie się dla uczniów impulsem… i zaowocuje w przyszłości wyborem przez nich dalszej drogi kształcenia na kierunkach prawniczych?

Wykłady o polskich Konstytucjach znakomicie wpisały się też w działania realizowane w SP3 w ramach projektu **„Nauka demokracji w szkole”**.

Damian Komada

Weekend cudów

Sobota, ósmy grudnia. Gdyby nie inna siedziba sztabu Szlachetnej Paczki, mogłabym pomyśleć, że mam *déjà vu*. Ta sama przedświąteczna atmosfera, choinka, pomieszczenia wypełnione kartonami, starannie i odświętnie opakowane, są też w większości ci sami wolontariusze: Ola, Agnieszka, Magda, Klaudia, Wojtek, rzecz jasna też lider rejonu, niezmiennie od 5 lat ten sam - Paweł. Są też nowe twarze: Dominika, Dawid, Agata. Prawie wszyscy w służbowych koszulkach Paczki z napisami „Kocham ludzi", „Drużyna superW".

Zaczynamy od szkolenia, jak opisywać relację z wizyt u rodzin, którym wieziemy paczki. Potem czas na logistykę: kto z kim i kiedy jedzie w odwiedziny do naszych beneficjentów, który z nich zgodził się na wizytę prasy, czyli moją, a kto zastrzegł sobie anonimowość, do czego ma pełne prawo. Nie wszystkie rodziny chcą przecież ujawniać swoją sytuację, bo ludzi krępuje, gdy zdani są na pomoc obcych.

Kiedy już wszystko jasne, pakujemy pudła do białego busa i jedziemy do Prusic, gdzie mamy prezenty dla dwóch rodzin.

Zaczynamy od pani Heleny, która mieszka samotnie. Dla niej mamy najcięższą z paczek – żeliwny piec. Pomoc mężczyzn, w tym naszego dyżurnego kierowcy – Mariusza - staje się nieodzowna w targaniu pudeł i tego pieca na pierwsze piętro po krętych schodach. Kiedy gospodyni długo nie otwiera nam drzwi, już mamy lęk w oczach, że to wszystko trzeba będzie nieść w odwrotnym kierunku. Jednak po chwili drzwi się otwierają i możemy odetchnąć z ulgą. Pani Helena ma problem z chodzeniem, więc rozumiemy, dlaczego wystawiła naszą cierpliwość na próbę. Kiedy nas widzi, uśmiech rozpromienia jej buzię. Wiedziała, że przyjedziemy z prezentami, ale chyba nie sądziła, że będzie tego 10 paczek, w tym wspomniany piec. Zaprasza nas do swojego maleńkiego pokoju, a w tym czasie chłopaki szukają miejsca, gdzie zdeponować najcięższy z podarunków. Patrząc na kaflowy zdezelowany piec, który stwarza już duże niebezpieczeństwo dla pani Heleny, cieszymy się, że udało się znaleźć darczyńców, którzy ufundowali jej nowy. Teraz tylko czekać, by ktoś zajął się jego montażem.

W tym czasie pani Helena patrzy na liczbę pakunków i widać, jak jest wzruszona, choć jeszcze nie zna zawartości pudeł. Od razu podaje Magdzie przygotowany drobiazg dla darczyńców i wolontariuszki. Zwyczaj Paczkowy każe być wolontariuszom przy rozpakowywaniu prezentów, więc zachęcamy panią Helenę, by rozcinała papier. Kobieta przynosi nóż, wręcza Dawidowi i mówi, że czyni go teraz „władcą noża" i niech on czyni swą powinność. Dawid szybko wydobywa z pudeł coraz to nowe rzeczy, a pani Helena szuka chusteczek, bo łzy płyną jej po policzkach. „Mam 83 lata, a nigdy nikt mi nie podarował tyle rzeczy" – powtarza co chwilę. Magda prosi panią Helenę, by przymierzyła zimową kurtkę. Leży jak szyta na miarę, podobnie i sweter i dwie pary kapci pasują, jak ulał. Kiedy pani Helena stroi się w nowe ciuszki, Dawid wynosi do kuchni zapasy żywności, a osobno odkłada produkty chemiczne.

Kartony składamy w kuchni. Pani Helena nie pozwala nam ich wyrzucić, bo będą na rozpałkę, kiedy tylko ruszy nowy piec. Nauczyła się żyć oszczędnie, więc nic nie chce zmarnować. Żegnamy się z oszołomioną gospodynią, życząc sobie wzajemnie: Wesołych świąt.

I jedziemy dalej, tylko kilkaset metrów dalej, do pań Anny i Marty. Wieziemy im 14 pudelek w srebrnym papierze. Teraz towarzyszy nam Ola, która reprezentuje darczyńców i jest ich okiem oraz uchem. Obie kobiety czekają na nas w przedpokoju. Dla pani Marty przejście z powrotem kilku kroków do pokoju kończy się dusznością. Schorowana osiemdziesięciokilkulatka siada na wersalce i stamtąd już tylko będzie obserwować, co dzieje się w mieszkaniu. A dzieje się dużo. Samo wtarganie pudeł zajmuje dłuższą chwilę. Nie mówiąc o ich rozpakowaniu. Pani Marta postanawia sama się tym zająć. Po kolei, metodycznie rozcina każdą paczkę, a my selekcjonujemy ich zawartość. Kobiety cieszą się, że zapas jedzenia mają nie tylko na najbliższe święta, ale też na kolejne i jeszcze następne. A chemii gospodarczej starczy im na kilka lat. Kiedy pani Marta widzi nowiutki robot kuchenny, mówi, że spełniły się jej marzenia, bo teraz będzie mogła zrobić kugiel, czyli potrawę z rejonów, skąd pochodzi jej mama. To babka pieczona z tartych ziemniaków. W ogóle na jedzeniu teraz nie muszą oszczędzać. Cieszą się ze wszystkiego. Starsza pani z lampki nocnej. Podczas bezsennych nocy będzie mogła palić dyskretne światło. Córka zadowolona jest z karnetu do fryzjera. Zimowe buty pasują i na jedną i na drugą, a ciepłe kapcie od razu włożyła na stopy pani Anna i siedziała w nich do końca naszej wizyty.

Córka natomiast co chwilę ściskała wolontariuszy, mnie i Olę, nie mogąc wyrazić swojej radości. Z wdzięczności do własnoręcznie przygotowanej, wyhaftowanej kartki świątecznej i samodzielnie zrobionej choinki wyciąga z kredensu inne ozdoby przez siebie wykonane, by nimi obdarować obecnych.

Gdy wracamy do Złotoryi, do magazynu Ola, która reprezentowała darczyńców, cieszy się, że zobaczyła na własne oczy radość obu pań z tych prezentów. „To niesamowite uczucie, kiedy widzi się łzy wzruszenia z otrzymanych prezentów, które okazują się tak ważne dla tych ludzi, choć to tylko zwykły proszek do prania czy zapas makaronu albo mleka. Często słyszy się o wielu różnych trudnych i smutnych sytuacjach, ale gdy dopiero ma się okazję zobaczyć to na żywo, to wtedy tak naprawdę można zrozumieć ludzkie problemy. Myślę, że warto brać udział w Szlachetnej Paczce i pomagać. Nas to czasem nie kosztuje tak wiele, ale dla tych osób ta pomoc może być wszystkim, co potrzebne do życia. I wcale nie chodzi o sprawy materialne, ale o to, że w ogóle ktoś o nich pomyśli i ma ochotę odwiedzić. To były bardzo wzruszające chwile. A gdy się pomaga i widzi radość rodziny, też jest się szczęśliwym." – mówi bardzo dojrzale siedemnastolatka.

Jest już ciemno i zaczyna padać, kiedy jedziemy do Podolan. Wolontariuszka Agata wypatruje w mroku miejsca, gdzie mamy skręcić w podwórze. Za nami wolno jedzie bus. „To tu, na pewno!" - mówi i ja posłusznie skręcam w prawo, a za nami jak cień – białe auto z niespodziankami dla pana Zygmunta.

Kiedy wchodzę wprost z ciemnego (próżno tu szukać żarówki) korytarza do kuchni i widzę maleńki pokój, nachodzą mnie wątpliwości, gdzie my to wszystko rozładujemy. Pan Zygmunt chyba też jest zaniepokojony, gdy widzi liczbę paczek, bo w tym, zdecydowanie wymagającym remontu, mieszkanku ledwie mieszczą się wolontariusze, a co z nową szafką pod zlewozmywak czy sprzętem AGD. Dobrze, że węgiel zostanie przywieziony za kilkanaście minut i zsypany pod komórką. Do komórki też chłopaki wnoszą większe sprzęty, pan Zygmunt mówi, że na spokojnie sam sobie wszystko poustawia. Dziś jest zbyt oszołomiony. Jako że po wylewie, ma problem ze sprawnością ręki, pomagamy mu rozpakować prezenty i posegregować ich zawartość. Pierwsza paczka cieszy go bardzo, są tam dwie grube książki popularnonaukowe. „Lubię czytać" – mówi pan Zygmunt i wskazuje na kąt pokoju, gdzie zgromadzone są inne książki. Kolejne pudła to żywność w puszkach, słoikach, kartony mleka, makarony...Jest też tu chyba z pół sklepu z chemią gospodarczą. Zastanawiam się, kiedy to ten samotny mężczyzna spożytkuje, a on jakby czytając w myślach mówi: „Dużo tego, ale podzielę się tym z córką. Mieszka niedaleko mojej wsi." I wyciąga zza szyby fotografię córki z półtoraroczną wnusią i jej ojcem. „Zawiozę jej to rowerem" – dodaje.

Gdy wychodzimy z mieszkania, pan Zygmunt nas odprowadza i nie widząc w ciemnościach naszego auta, martwi się, że teraz będziemy wracać do domu na piechotę. Śmiejemy się i uspokajamy go, że nie mamy takiego zamiaru, ale wzrusza nas ta jego troska.

W podobnie ciemny wieczór, tyle że już w drugi dzień weekendu cudów, jedziemy z Dominiką i Pawłem do rodziny w Złotoryi. Tym razem paczki mieszczą się w osobowym aucie, ale to nie znaczy, że ich wartość jest nikła. Wieziemy pampersy i karnet na zabiegi rehabilitacyjne dla Klaudii. Dziewczyna, a w zasadzie wypadałoby powiedzieć: młoda kobieta, jest absolwentką złotoryjskiego ogólniaka. 6 lat temu uległa wypadkowi. Wtedy uszkodziła pień mózgu. Ta chwila zmieniła jej życie i życie jej rodziców. Od wypadku Klaudia jest niepełnosprawna, nie chodzi, nie mówi, zdana jest na opiekę najbliższych. Kiedy patrzę na Klaudię, wciąż widzę młodą trzpiotkę, która tanecznym krokiem idzie środkiem szkolnej auli odebrać świadectwo maturalne, mające być przepustką w dorosłość. Wtedy nie wiedziała, że tak ona będzie wyglądać.

Cały sens życia rodziców Klaudii to pielęgnacja córki. Dlatego to, co najbardziej może im pomóc, zawiera się w jej potrzebach. Podczas rozpakowywania paczek Klaudia nam towarzyszy, siedząc na wózku. Tato trzyma jej głowę i opowiada córce, co się dzieje. Klaudia rozmawia z rodzicami oczami. Oni wiedzą, co znaczą mrugnięcia i grymasy twarzy. Dziewczyna jest spokojna, rozpoznaje głosy, które już nie raz słyszała.

Wśród prezentów znajdują się też dwa dobkowskie anioły. Jeden ma strzec Klaudii, drugi jej taty, który też niedomaga zdrowotnie, ale wszystkie siły, jakie mu zostały, koncentruje na pomocy żonie w opiece nad córką.

Mama Klaudii chce nas poczęstować herbatą, ale musimy jechać dalej, bo zostały jeszcze inne rodziny do odwiedzenia, a niebawem weekend cudów dobiegnie końca. Trzeba zdążyć.

Post scriptum:
*W tym roku złotoryjska szlachetna Paczka pomogła **18 rodzinom** w rejonie. **883 darczyńców** przygotowało pomoc na łączną kwotę **ponad 51 tysięcy złotych**. A nad tym wszystkim czuwało zaledwie **dziesięcioro wolontariuszy i kierowca (też społecznik).***

Iwona Pawłowska
wolontariuszka Szlachetnej Paczki

Karolina, czyli historia słodkiej dziewczyny

Od dziecka słyszała, że się obżera, stąd ta nadwaga. Nie pomagały zaprzeczenia jej mamy ani samej Karoliny. Lekarze wiedzieli swoje i kazali Monice Kaczmarek pilnować diety córki. Sugerowali, że dziecko na pewno podjada słodycze, a rodzice tego nie widzą. Gdyby nie problem z zatokami i dociekliwość laryngologa, którego zaniepokoiły też inne objawy, jak wysokie ciśnienie Karoliny, pewnie nie skierowano by jej na dodatkowe, szczegółowe badania. Najpierw była pani kardiolog, która uwierzyła, że waga Karoliny nie ma nic wspólnego z jedzeniem i wysłała dziesięciolatkę do poradni zaburzeń metabolicznych. Okazało się, że dziecko ma niską tolerancję kalorii i już 600 kilokalorii dziennie powoduje tycie.

Nie była to budująca diagnoza, ale ważne, że już rodzice wiedzieli, co dolega córce. Można było zacząć działać. Wtedy zaczęła się terapia i eksperymentowanie, ile Karolina powinna dziennie jeść. Trochę to trwało. W końcu ustalono jej, że to może być odpowiednik 20 klocków. Przy czym jeden klocek to na przykład jabłko, które waży 140 gramów, czy kromka chleba lub dwa plasterki wędliny...

Wizyty w poradni metabolicznej zainspirowały Monikę, by przebadać córkę w kierunku cukrzycy. Po trzech miesiącach już stało się jasne, że dziewczyna boryka się z insulinoopornością i cukrzycą typu drugiego (typową dla wieku dorosłego). Lekarze podjęli terapię lekami, na początku od małych dawek, potem coraz większych... Wtedy wreszcie Karolina zaczęła chudnąć. Zrzuciła 15 kilogramów i poczuła się bardzo dobrze. I fizycznie i psychicznie. Miała lepszy nastrój, cieszyła się, idąc na zakupy, by zmienić garderobę. Radość nie trwała długo. Leki, dzięki którym chudła, za bardzo zbijały jej poziom cukru, więc lekarz zmienił dawkę, a ona spowodowała ponowny, choć powolny wzrost wagi.

W wieku 17 lat Karolina znowu trafiła do poradni zaburzeń metabolicznych, bo nie chciała nic jeść w obawie przed tyciem. W tym wieku waga, figura, wygląd są dla młodzieży istotniejsze niż zdrowie. Na dodatek mało kto rozumie, że za otyłością stoi często choroba, a nie lenistwo czy skłonność do coli i chipsów. Młodzi ludzie w swym dążeniu do perfekcyjnego wyglądu zdolni są do okrucieństwa wobec własnego organizmu, ale też do izolowania towarzyskiego wszystkich odbiegających od ideału rówieśników. Zresztą trudno dziwić się młodzieży, skoro i dorośli sądzą innych po pozorach. O tym Karolina i jej mama przekonały się nie raz.

Dlatego Karolina robiła, co wydawało jej się najlepsze, by wyglądać jak jej rówieśnicy. Głodziła się, intensywnie przez kilka godzin ćwiczyła z obciążnikami, w internecie wyszukiwała suplementów na zbicie wagi... i niewiele brakowało a skończyłoby się tragicznie. Dziewczynę mocno wystraszyła lekarka, która powiedziała Karolinie, że jeśli nie zmieni postępowania, to zostanie w szpitalu, gdzie będzie sztucznie i siłą karmiona. To pomogło. Pomogły też rozmowy z psychologiem.

Karolina powoli oswajała się z chorobą, Nie była z nią jedyna w rodzinie. Tak się złożyło, że i mama Monika, i siostra Oliwia to też „słodkie" dziewczyny. Cukrzyca była zapisana w ich genach. Jednak znając wroga, można sobie z nim jakoś radzić. Ważne, by go nie lekceważyć i systematycznie przyjmować leki. Karolina była w tym skrupulatna. A środowisko, no cóż, ludzi trudno zmienić, łatwiej zmienić miejsce, szkołę. I tak te się stało. Dziewczyna poszła do liceum w Legnicy, zresztą śladem starszej siostry Oliwii. W nowym otoczeniu czuły się swobodniej. Choć przed chorobą nie uciekły, mogły zacząć wszystko od nowa w relacjach z rówieśnikami i nauczycielami, bardziej lub mniej wyrozumiałymi. Niezależnie od tego, co działo się w szkole, rodzice zawsze byli dla Karoliny i Oliwii oparciem i głosem rozsądku. Czasem musieli iść na przekór wytycznym bardziej ortodoksyjnych lekarzy, jak na przykład dietetyk klinicznej, która wyrzuciła z jadłospisu Karoliny najpotrzebniejsze w jej wieku składniki (nabiał, mięso...) a nakazywała przede wszystkim picie dwóch litrów herbaty z ziół w ciągu dnia, a na drugie śniadanie zakwas z buraków, a jak będzie głodna, to niech doda sobie kefiru. Mama Karoliny wspomina, że co prawda po wyjściu od dietetyka pojechali do sklepu w Legnicy i z pewnym sceptycyzmem kupili zalecane składniki: amarantus, zioła, pojemniki do mieszanek... I szaleństwo z tą dietą trwało na szczęście tydzień, bo po tym czasie, na wizycie w poradni zaburzeń metabolicznych, lekarz złapał się za głowę na wieść, co zlecił jego poprzednik, czyli pani dietetyk. Kategorycznie kazał odstawić ten eksperyment jako groźny dla zdrowia i życia dziewczyny. Okazało się, że intuicja rodziców nie zawiodła.

Dzieci z cukrzycą typu 2. i insulinoopornością są zdecydowanie pokrzywdzone, ponieważ nie przysługuje im w naszym systemie taka sama opieka i dostępność do specjalistów, jak w przypadku chorych na cukrzycę typu 1. Ci ostatni mają zapewnioną kompleksową opiekę dietetyków, psychologa, dłuższy pobyt w klinice. Karolina zatem została pokrzywdzona podwójnie, nie tylko samą chorobą, ale też innym traktowaniem chorych na tę odmianę cukrzycy, która w obiegowej opinii jest chorobą wieku starczego. Prawda jest taka, że najmłodsze zdiagnozowane dziecko z 2. typem cukrzycy na świecie miało 3 lata.

Na dodatek system nie przewiduje kontynuacji leczenia dziecięcych pacjentów w poradniach, gdy ci ukończą18 lat. Wtedy cała zabawa z diagnostyką i zapisami, kolejkami do specjalistów zaczyna się od nowa. W takiej sytuacji są obecnie i Karolina, i Oliwia. Na szczęście ojciec dziewczyn ma pakiet medyczny w MCZ i tam Karolina przeszła skróconą procedurę diagnostyczno-medyczną. Ale to i tak w rzeczywistości cofa proces leczenia. Mama Karoliny mówi, że z powodu braku ciągłości terapii, choroba dziewczyny wtedy znowu stała się widoczna i uciążliwa. Karolina utyła, zaczęły się poważne zmiany hormonalne.

Mama dziewczyn od kilku lat prowadzi w Złotoryi koło stowarzyszenia diabetyków i uczestniczy w szkoleniach oraz konferencjach, ma coraz większą wiedzę, by wiedzieć, jakimi drogami prowadzić Karolinę, żeby już nie popełniać błędów w terapii.

Rodzina jest już mocno wyedukowana i świadoma. Karolina, wydaje się, zaakceptowała swoją chorobę. I kiedy ogłoszono konkurs pod nazwą „Dłuższe życie z cukrzycą", postanowiła opisać swoje przygody z chorobą i wsparcie najbliższych. Jak sama mówi - zrelacjonowała krótszą wersję dłuższej historii. Mama ze śmiechem dodaje, że lekko złagodzoną. Główną nagrodą w konkursie był bon na 1000 zł uprawniający do zakupów w sklepie sportowym i sesja fotograficzna dla całej rodziny z Lidią Popiel. Jury składające się między innymi z lekarzy diabetologów przeczytało historię Karoliny i uznało ją za najlepszą.

Rodzina została zaproszona do Warszawy. Poproszono Kaczmarków, by zabrali ze sobą ubrania w stonowanych kolorach i trampki. To na wypadek, gdyby ubrania dla nich przygotowane nie przypadły im do gustu.

W stolicy zakwaterowano ich w InterContinentalu, bardzo eleganckim hotelu. Sesję fotograficzną mieli zaplanowaną w apartamentowcu na Złotej na 50. piętrze. W budynku, gdzie mieszkanie ma R. Lewandowski, J. Krupa. Kaczmarkowie sami poczuli się tam jak rodzina VIPów. Wokół nich biegało chyba 12 osób, z których każda miała swoje konkretne zadanie: fryzury, makijaż, stylizacja damska, męska, asystenci fotografki i oczywiście ona, Lidia Popiel. Karolina mówi, że mieli obawy, jaka będzie atmosfera tej sesji, czy nie będzie sztywno i czy pani Lidia nie będzie stwarzać dystansu.

Okazało się, że obawy dziewczyny były próżne. Zobaczyli artystkę, która przyszła ubrana casualowo w sandałkach, swobodną, bez pozy celebrytki. Wszyscy członkowie ekipy od razu przełamali dystans i kazali sobie mówić po imieniu, atmosfera zrobiła się luźna a lody zostały skruszone. Sesja choć trwała długo, cały dzień, była fajną zabawą dla całej rodziny, z żartami i humorem, który dopisywał i ekipie i „celebrytom".

Bo tak się poczuli - jak gwiazdy. Tato Karoliny mówi, że nigdy nie miał tyle kosmetyków na twarzy, co wtedy. Na koniec sesji cała ekipa ich przytuliła, co nawet mimo tej luźnej atmosfery zdziwiło Kaczmarków. Zobaczyli ludzi, którzy nie przyszli tylko zrobić swojej roboty i wyjść, ale stworzyli naprawdę fajne relacje, które przekuły się w świetne zdjęcia. I miłe wspomnienia dla rodziny.

Potem okazało się, że to nie był to koniec z mediami. Dopiero wtedy zaczęły się wywiady i zrealizowano program z udziałem całej czwórki Kaczmarków. To właśnie podczas sesji, kiedy ekipa rozmawiała z Karoliną, narodził się pomysł filmu. Kaczmarkowie się zgodzili, choć zdawali sobie sprawę, że to będzie już ingerencja w ich życie osobiste. Ale sesja im pokazała, że nie ma się czego bać. Poza tym widzieli szansę na pokazanie historii Karoliny, a to może być przykładem dla innych rodzin, że z cukrzycą można żyć mimo problemów, jakie ze sobą niesie. Włączył się tu czynnik społeczny. Mama Karoliny chciał, by przy okazji ludzie uświadomili sobie, że to, jak wyglądamy, jak się zachowujemy, może mieć bezpośredni związek ze stanem zdrowia. Sama Karolina powiedziała, że jeśli ten film ma komuś pomóc, to ona chętnie wyrazi na niego zgodę.
I we wrześniu tego roku ekipa przyjechała do Złotoryi, by nakręcić materiał. Trwało to cały dzień. Zdjęcia kręcono w domu Kaczmarków i nad zalewem. Najpierw każdy z osobna miał swój czas (pół godziny) przed kamerą, wtedy nikogo w mieszkaniu nie mogło być poza ekipą i nagrywanym, więc Kaczmarkowie rotacyjnie wchodzili i wychodzili z domu. Razem dopiero mogli być podczas relacji z przygotowywania obiadu. Jako że nie było na to dużo czasu, Monika wymyśliła filet z kurczaka grillowany, kaszą gryczaną i miską sałat. Po obiedzie zjechali nad zalew i tam sceny też były filmowane w gronie rodzinnym.

Premiera filmu i pokaz zdjęć były w listopadzie w Warszawie podczas konferencji diabetologicznej. Bali się, jak będzie przyjęty ten materiał. Podczas projekcji mieli ochotę zniknąć. Nie mieli pojęcia, jak po zmontowaniu wygląda to, co kręcono cały dzień, a realizatorzy ujęli w trzech minutach. Okazało się, że wypadło wzruszająco, dziewczyny nawet uroniły łzę. Wywołali też zainteresowanie portali i prasy. Atutem filmu była autentyczność historii. I zaczęły się wywiady...

Tam, podczas konferencji poznali ambasadora akcji Michała Pielę, jak mówią – przesympatycznego człowieka oraz Michała Figurskiego, który ze szczerością przyznał, że sam zapracował sobie na swoje choroby, bo zbagatelizował cukrzycę, jadł, co chciał, robił, co chciał. Teraz założył fundację Najsłodsi i uświadamia ludzi, co im grozi, gdy są aroganccy wobec własnego organizmu. Zaproponował Kaczmarkom współpracę ze stowarzyszeniem.

Jak widać Karolina narobiła zamieszania swoim opowiadaniem. Pewnie sama nie przewidywała skutków udziału w konkursie. Rodzina się cieszy. Mama jest dumna i ma nadzieję, że to, co się wydarzyło to dobry krok, by pokazać ludziom, czym jest cukrzyca i jak z nią żyć.

Wierzy, że kiedy ludzie zrozumieją, to nie spotka ją już taka przykrość, jak ostatnio, kiedy podczas kampanii wyborczej dwie młode dziewczyny stanęły pod jej plakatem i powiedziały: Nie będę na nią głosować, bo jest za gruba!

To może kiedyś, a teraz Kaczmarkowie cieszą się, że dzięki Karolinie wreszcie mają rodzinne zdjęcie, bo do tej pory zawsze ktoś z nich był fotografem i nawet kiedy na konkurs trzeba było do pracy dołączyć zdjęcie rodziny, to Karolina musiała skompilować je z dwóch osobnych. Na jednym byli rodzice z psem, a na drugim dziewczyny, też z psem. Po połączeniu była ich cała czwórka z...dwoma psami.

Historii Karoliny Kaczmarek i jej rodziny wysłuchała Iwona Pawłowska

Fot. Lidia Popiel

Złotoryjska „powiatówka”

***W** pierwszej połowie lat pięćdziesiątych XX wieku, z inicjatywy polskich władz w całym kraju zapanowała „moda” na gazety powiatowe. Wedle podjętych planów, każdy powiat miał wydawać swój własny organ prasowy. Krajowy rynek prasowy zalała wręcz fala lokalnych czasopism. Swoją własną „powiatówkę” posiadała też Złotoryja.*

PRL-owskie władze, wzorując się oczywiście na przykładzie radzieckim, uznały, iż prasa poruszająca tematy lokalne, koncentrująca się na problemach małych społeczności będzie mogła odegrać ważną rolę w szerzeniu komunistycznej propagandy, jak również pełnić funkcję „agitatora aktualnych zadań polityki państwowej” (kolektywizacja wsi, plan sześcioletni etc.). Dlatego też wśród uchwał II Zjazdu PZPR (1954 r.) znalazł się postulat rozwoju lokalnej prasy powiatowej.

Jak podaje Sylwester Dzik, tylko w 1954 r. na polskim rynku prasowym ukazało się ponad osiemdziesiąt nowych tytułów. Zazwyczaj ich wydawcą były powiatowe (lub miejskie) komitety Frontu Jedności Narodowej. Początkowo były to na ogół skromnie wyglądające czterostronicowe wydawnictwa. Niekiedy zyskiwały z czasem kolejne strony, a niektóre z nich rozrastały się nawet do rozmiaru kilkunastostronicowych gazet. Ich nakłady także były różne (w opracowaniach podawane są wartości od 500 do nawet 40 000), jednak zazwyczaj była to ilość oscylująca wokół kilku tysięcy egzemplarzy. „Powiatówki” były redagowane siłami lokalnego aktywu, co miało także swoje bezpośrednie przełożenie na ich poziom, który badacze historii polskiej prasy oceniają dosyć nisko. Jak pisała Weronika Ćwiertnia-Bernaś: „Treść artykułów była raczej jednostronna, często płytka i nie zawsze zawierała trafne, przekonujące i słuszne wnioski”. Z kolei Krystyna Bednarz dowodziła, że „Żadna z nich nie miała ambicji, ani możliwości zamieszczania artykułów publicystycznych z prawdziwego zdarzenia. Ograniczały się więc w zasadzie do krótkich informacji lokalnych oraz niewielkich i z reguły nieudanych publikacji krytycznych ozdabianych pompatycznymi tytułami”.

Wysyp czasopism i ich krótki żywot

Do czasu pojawienia się w dolnośląskich kioskach „powiatówek” lokalny rynek prasowy był dosyć mało różnorodny. Oprócz dwóch dominujących dzienników z Wrocławia („Słowo Polskie” i „Gazeta Robotnicza”) i ich lokalnych wydań, czytelnicy mogli liczyć jeszcze tylko na dosłownie kilka gazet zakładowych – tytuły te wydawane były przez niektóre większe zakłady przemysłowe w regionie (pierwszy, bo ukazujący się już od 1946 r. był „Pafawag”, wydawany przez Państwową Fabrykę Wagonów we Wrocławiu).

Wszystko zmieniło się w 1954 r., kiedy chyba w każdym dolnośląskim powiecie rozpoczęto wydawanie lokalnej gazety. W czasie przeprowadzonych badań udało mi się dotrzeć do blisko trzydziestu takich pozycji. Były to: „Echo Bolesławieckie”, „Echo Kamiennej Góry”, „Gazeta Dzierżoniowska”, „Gazeta Górowska”, „Gazeta Lubińska”, „Gazeta Milicka”, „Gazeta Noworudzka”, „Gazeta Oleśnicka”, „Gazeta Oławska”, „Gazeta Sycowska”, „Gazeta Trzebnicka”, „Gazeta Ząbkowicka”, „Gazeta Żagańska”, „Głos Bystrzycki”, „Głos Jeleniogórski”, „Głos Lubański”, „Głos Lwówecki”, „Głos Powiatu Wałbrzyskiego”, „Głos Środy Śląskiej”, „Głos Ziemi Kłodzkiej”, „Trybuna Wałbrzyska”, „Wiadomości Jaworskie”, „Wiadomości Legnickie”, „Wiadomości Zgorzeleckie”, „Wieś Wołowska”, „Życie Głogowskie”, „Życie Strzelińskie”, „Życie Świdnickie” i wreszcie „Życie Złotoryi”.

Dolnośląskie „powiatówki”, tak jak szybko się pojawiły, prawie tak samo szybko zniknęły – w okresie burzliwych wydarzeń 1956 r. w zasadzie wszystkie z nich zostały zamknięte. Taki los spotkał m. in. „Życie Złotoryi”. W przypadku Dolnego Śląska przetrwały tylko dwie – „Trybuna Wałbrzyska” i „Wiadomości Legnickie”, które w kolejnych latach rozrosły się do sporej wielkości periodyków. Powodów krótkiej żywotności takich czasopism można wymienić zapewne wiele, i to w zależności od danego powiatu i gazety. Co jednak jest tutaj wspólne to fakt, iż wszystkie były wytworami wynikającymi z odgórnie narzuconej decyzji. Postanowiono, że każdy powiat będzie posiadał swój organ prasowy i nie liczono się z potrzebami społecznymi danego terenu. Nie uwzględniano w tych planach ani tradycji, ani aktywności lokalnych środowisk. Gazety powstawały zarówno w powiatach posiadających długoletnie tradycje prasowe i aktywne środowisko intelektualne, jak również w tych, które nie mogły się w tej kwestii niczym pochwalić. Nikt nie wpadł wówczas na pomysł, aby powstały np. wspólne gazety dla kilku powiatów, co dawałoby im lepsze perspektywy na przyszłość. Dlatego też efekt był taki, iż większość z nich była skazana na porażkę i upadek.

„Życie Złotoryi”

Pierwszy numer „Życia Złotoryi” ukazał się w lipcu 1954 r. (brak daty dziennej). Jak wynika ze zbioru zachowanego w zasobie Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu, ukazały się łącznie czterdzieści trzy wydania tej gazety – dziesięć w 1954 r., dwadzieścia cztery w 1955 r. oraz dziewięć w 1956 r. Zazwyczaj gazeta ukazywała się dwa razy w miesiącu. Ostatni zachowany numer wydany został z datą 28 maja 1956 r., czyli niespełna dwa lata od pierwszego wydania.

Sam wygląd „Życia Złotoryi”, czyli jego format, ilość stron i szata graficzna nie wyróżniała się niczym szczególnym na tle innych ówczesnych gazet powiatowych. Przez cały okres swego istnienia gazeta liczyła zaledwie cztery strony. Jedynym wyjątkiem był tutaj numer ósmy z 1955 r., poświęcony obchodom dziesiątej rocznicy „wyzwolenia”. Spora część, z ośmiu przygotowanych wówczas stron, została poświęcona na podsumowanie dotychczasowych osiągnięć powojennego społeczeństwa i władz ziemi złotoryjskiej. Format również nie powalał (35 cm wysokości i 25 cm szerokości). Gazeta była także skromna wizualnie – zdjęć i ilustracji było niewiele, a zdarzały się wydania, gdzie nie było ich wcale. Rzadko stosowano inną kolorystykę druku. Zaledwie kilkakrotnie pojawia się na łamach „Życia Złotoryi” czerwony kolor czcionki.

Złotoryjscy redaktorzy

Ze skromnej stopki redakcyjnej umieszczonej na samym końcu wydania informowano, iż wydawcą gazety był Komitet Powiatowy Frontu Narodowego w Złotoryi (tam też znajdowała się redakcja), a za jej druk odpowiedzialne były Zakłady Graficzne RSW „Prasa” we Wrocławiu. O składzie redakcji nic nie napisano – ograniczono się do wzmianki „Redaguje zespół” (później zastąpionej, również lakoniczną „Redaguje kolegium”), a finalnie od grudnia 1954 r. całkowicie usuniętej. Pozostawiono wówczas tylko informacje o drukarni i tak już pozostało do końca.

Trudu prowadzenia gazety podjęli się lokalni działacze polityczni i społeczni z całego powiatu złotoryjskiego. Na łamach „Życia Złotoryi” publikowano też artykuły autorstwa lokalnych kierowników i dyrektorów zakładów. A piszących było naprawdę wielu: Lesław Miller, Alfred Żydek, Antoni Pawlik, Władysław Dominiak, Henryk Kostecki, Mikołaj Kolosza, Wacław Głowa, Lucjan Misiak, Stefan Jaworski, Jan Przybylski, Aleksander Gaj, Antoni Możdzan, Stanisław Nieborak, Julian Godyń, Edward Borecki, Stanisław Beciczko, Czesław Stasina, Jan Rukawiczka. To tylko Ci, którzy publikowali w pierwszych numerach z 1954 r., a i wtedy było ich jeszcze więcej, ale w niektórych przypadkach znamy tylko nazwisko danej osoby lub jego inicjały.

Z kolei o niektórych współpracownikach wiemy nieco więcej, bo pod ich nazwiskiem umieszczono krótką notkę. I tak wiadomo, że na przestrzeni lat 1954-1956 w „Życiu Złotoryi” ukazywały się teksty m. in. Stanisława Skupienia (Kierownik Wydziału Propagandy Komitetu Powiatowego PZPR), Adolfa Żelaznego (Przewodniczący Zarządu Powiatowego Związku Młodzieży Polskiej), Jana Czeczotki (Wiceprzewodniczący Zarządu Powiatowego Związku Młodzieży Polskiej), Kazimierza Łosieszki (główny lekarz weterynarii), Stanisława Hodowanego (Przewodniczący Prezydium Powiatowej Rady Narodowej), Józefa Chwedczuka (Kierownik Powiatowego Zarządu Rolnictwa) czy K. Szopińskiego (kierownik lokalnego Wydziału Handlu). Wiadomo też, iż do periodyku pisał także ówczesny I sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR.

Na łamach gazety pojawiają się także teksty autorstwa kobiet, jednak jest ich zdecydowanie mniej. W czasie kwerendy udało mi się odnaleźć zaledwie kilka nazwisk: Maria Jakubas, Bogdanna Palczak, A. Wyszczółkowska, Anna Lechicka i Elżbieta Janusz.

Gazeta z misją

Tak jak w każdej „powiatówce”, wydawaniu „Życia Złotoryi” przyświecała pewna idea. Na czołówce pierwszego numeru pisano: „Oddajemy w Twoje ręce pierwszy numer naszej powiatowej gazety, w której zamieszczamy szereg artykułów o życiu naszego powiatu. Pragniemy, aby artykuły nasze były dla Ciebie informatorem wskazującym na życie gospodarcze, polityczne i kulturalne w naszym powiecie. Czytając tę gazetę, pragniemy, abyś Czytelniku, był nie tylko zwykłym obserwatorem, tego co się dzieje w naszym powiecie, ale abyś wyciągnął odpowiednie wnioski z tych wiadomości dla siebie i sam stał się czynnym uczestnikiem wielkiej walki o realizację zadań postawionych przed nami przez II Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Zadania postawione przed narodem przez II Zjazd partii są trudne, a zarazem zaszczytne. Wypełnimy je wtedy, jeżeli wzmocnimy mobilizację szerokich mas społeczeństwa, jeżeli wzrośnie świadomość każdego człowieka pracy, jeżeli będziemy mówić o naszych codziennych osiągnięciach i brakach, jeżeli te braki będziemy usuwać”. Jednocześnie pisano, iż artykuły publikowane na łamach „Życia Złotoryi” mają za zadanie „(...) wykazanie metod pracy na odcinku życia gospodarczego i polityczno-kulturalnego w naszym powiecie, a z drugiej strony, demaskować mają tych, co wstrzymują i opóźniają nasz marsz do lepszego jutra”.

Ziemia złotoryjska na kartach „Życia”

Tematyka poruszana na łamach „Życia Złotoryi” była podobna do tego, co mogli przeczytać czytelnicy innych „powiatówek”. Skupiano się głównie na aktualnych problemach lokalnej społeczności, naprawdę sporadycznie przekazując wieści o charakterze ogólnopolskim. Promowano na jej łamach takie idee, jak kolektywizacja wsi, współzawodnictwo pracy (w tym przypadku publikowano zdjęcia i krótkie charakterystyki lokalnych przodowników pracy), podejmowanie różnego rodzaju zobowiązań. Zachęcano środowiska rolnicze do terminowej realizacji obowiązkowych dostaw na rzecz państwa, a osoby uchylające się od tego wręcz piętnowano. Promowano czytelnictwo i rozwój bibliotek. Jednocześnie zwalczano takie patologie społeczne, jak np. pijaństwo.

Na kartach gazety można odnaleźć także informacje o działalności lokalnego aparatu partyjnego, zakładów pracy, spółdzielni, związków i stowarzyszeń, które są cennym uzupełnieniem naszej wiedzy pozyskiwanej z zachowanych archiwaliów. Wielokrotnie poruszano temat działalności lokalnej gospodarki. Pojawia się także oświata, służba zdrowia, życie kulturalne etc. Niejednokrotnie, nie szczędzono przy tych wątkach wielu gorzkich słów, kierowanych w stronę osób za nie odpowiedzialnych.

Stałym elementem gazety była rubryka sportowa, gdzie informowano o bieżących poczynaniach lokalnych zespołów i klubów sportowych. Sporadycznie zdarzały się także teksty, których autorzy poruszali tematykę historyczną. Już w 1954 r. ukazał się tekst autorstwa Jana Przybylskiego pt.: „Z historii miasta Złotoryi”. Inny tekst poświęcony historii miasta („Złotoryja – dotąd nieznana”) został opublikowany w 1955 r. pod inicjałami „K.S.”. Z kolei w jednym z ostatnich numerów z 1956 r. ukazał się tekst autorstwa Mariana Papieża pt.: „Słów kilka o Bolesławie Łysym (1241-1278)”. Na kartach „Życia Złotoryi” widoczna jest też pewnego rodzaju funkcja edukacyjna, Jako przykład może posłużyć „Poradnik rolnika”, w którym chciano zapoznawać lokalnych gospodarzy z najbardziej efektywnymi sposobami uprawy ziemi.

Redaktor poszukiwany, poszukiwana

Na łamach „Życia Złotoryi” niejednokrotnie zachęcano czytelników do podjęcia współpracy z redakcją. Już w drugim numerze gazety ogłoszono nawet konkurs na najlepszą notatkę do gazety: „Pragniemy, by nasze <<Życie Złotoryi>> było pismem wszystkich ludzi pracy powiatu. Gazeta nasza spełni jednak swe zadania tylko wówczas, jeśli będzie utrzymywała ścisły kontakt z czytelnikiem, jeśli będzie znała nastroje mieszkańców powiatu i wyjaśniała im ich wątpliwości, jeśli będzie wskazywała jak pracować, by przyśpieszyć podniesienie stopy życiowej ludzi pracy. W tym celu ogłaszamy konkurs na notatkę do naszej gazety”.

Na kartach gazety jeszcze wielokrotnie proszono o wsparcie tzw. czynnika społecznego, a niekiedy wertując poszczególne numery periodyku można się natknąć na hasła typu „Zostań korespondentem <<Życia Złotoryi>>”.

Marek Żak - historyk, pracownik Muzeum Miedzi w Legnicy i doktorant w Instytucie Historycznym UWr.

ŻYCIE ZŁOTORYJI
ORGAN POWIATOWEGO KOMITETU FRONTU NARODOWEGO
NR 1 LIPIEC 1954 R.
Zostań górnikiem!
OD REDAKCJI
Skróca koszenie zbóż i przyspiesza dostawy dla państwa
Zobowiązania 62 spółdzielni produkcyjnych
W walce o socjalistyczną przebudowę wsi
Jan Krupiński, I sekretarz KP PZPR w Złotoryi
(Dalszy ciąg na str. 2)

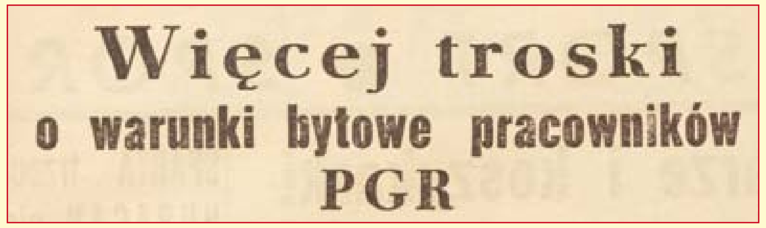
Więcej troski o warunki bytowe pracowników PGR

Nasi przodownicy
25 lat z lampą górniczą
Od pracownika szybowego do dyplomu inżynierskiego

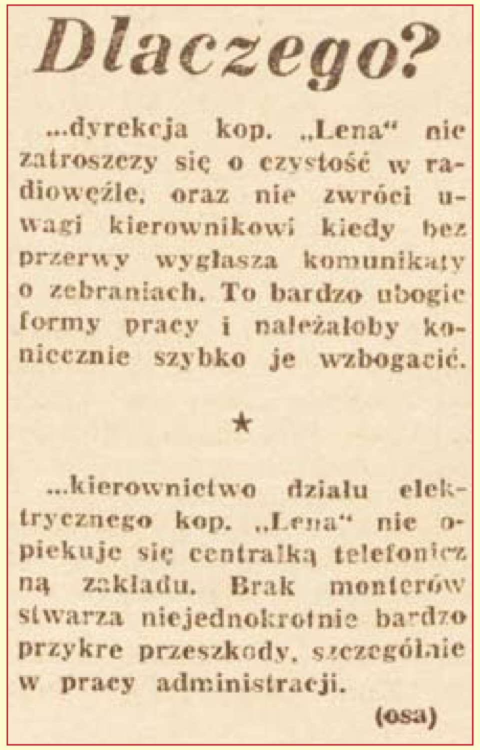
Dlaczego?

...dyrekcja kop. „Lena" nie zatroszczy się o czystość w radiowęźle, oraz nie zwróci uwagi kierownikowi kiedy bez przerwy wygłasza komunikaty o zebraniach. To bardzo ubogie formy pracy i należałoby koniecznie szybko je wzbogacić.

★

...kierownictwo działu elektrycznego kop. „Lena" nie opiekuje się centralką telefoniczną zakładu. Brak monterów stwarza niejednokrotnie bardzo przykre przeszkody, szczególnie w pracy administracji.

(osa)

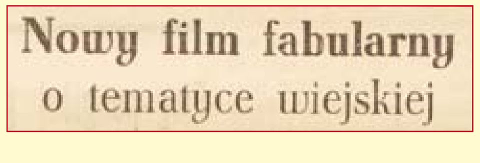
Nowy film fabularny o tematyce wiejskiej

ŻYCIE ZŁOTORYJI
Sport ● Sport ● Sport ● Sport ● Sport
Eulalia Łosek i Adam Kukla — mistrzami powiatu
Tadeusz Chodór - najlepszy w szachach
Sportowcy Złotoryji
Z II indywidualnych mistrzostw w boksie
Sukces pingpongistów
Sparta Złotoryja - Kolejarz Węgliniec 7:3
Czytajcie i prenumerujcie dwutygodnik Życie Złotoryji

XVII Powiatowy Dzień Regionalisty

Imprezy cykliczne zorganizowane przez TMZZ w 2018 r.

W 2018 r. odbyły się dwie cykliczne imprezy organizowane przez **TMZZ**: **Powiatowy Dzień Regionalisty** oraz **Rajd Jadwiżański**. Obie zgromadziły dużą liczbę uczestników. Oto ich podsumowanie.

Powiatowy Dzień Regionalisty

14 września 2018 r. odbył się XVII Powiatowy Dzień Regionalisty. Impreza pod hasłem „Wojcieszowskie dziedzictwo przyrodniczo-historyczne dla Niepodległej”, została zorganizowana we współpracy ze Szkołą Podstawową im. Władysława Broniewskiego w Wojcieszowie. Ze strony TMZZ organizacją całości zajęły się Wioleta Michalczyk i Małgorzata Pokrywka. W programie tegorocznego PDR znalazło się przejście wyznaczonymi, dopasowanymi do wieku uczestników, bardzo ciekawymi trasami, po których poprowadzili poszczególne grupy członkowie Stowarzyszenia Ziemia Aktywnych: Jolanta Sałek, Wacław Patalas, p. Wacław Łuka, Annie Łuka-Różnicka i Katarzyna Dłuska. Podczas wędrówki drużyny rozwiązywały zadania z zakresu krajoznawstwa i poznawały takie miejsca, jak: kamieniołom Gruszka, pałac i grobowiec rodziny Bergmann, kamieniołom Miłek, sztolnie, rezerwat Góra Miłek i wiele innych. Mimo deszczowej i mglistej pogody wszyscy w dobrych humorach przemierzyli swoje trasy. Udział wzięły drużyny ze Szkoły Podstawowej nr 3 i nr 1 ze Złotoryi, Ośrodka Szkolno-Wychowawczego z Wojcieszowa, Szkoły Podstawowej z Nowego Kościoła, Świerzawy i Sokołowca, Zespołu Szkół Ogólnokształcących ze Złotoryi oraz oczywiście gospodarze imprezy. Po powrocie czekał na uczestników ciepły posiłek w postaci pysznej grochówki oraz upieczone przez rodziców ciasta oraz nagrody. Nagrody wręczył Burmistrz Wojcieszowa – Sławomir Maciejczyk, który dofinansował całość przedsięwzięcia. I miejsca w poszczególnych kategoriach zajęły drużyny ze: Szkoły Podstawowej nr 1 w Złotoryi, Szkoły Podstawowej w Świerzawie, Szkoły Podstawowej z Sokołowca oraz Szkoły Podstawowej z Nowego Kościoła. Ta ostatnia zdobyła również nagrodę za najładniejsze zdjęcie zrobione na trasie. Dziękujemy panu Burmistrzowi i pani Dyrektor Agacie Firlej za pomoc. Mamy nadzieję, że przyszłoroczny XVIII Dzień Regionalisty będzie równie udany, jak w tym roku. Z pewnością wielu z nich powróci nieraz na te trasy turystyczne, aby w lepszych warunkach pogodowych podziwiać przepiękne wojcieszowskie krajobrazy.

Dzień Regionalisty

Rajd Jadwiżański

Jak co roku, już po raz XXI odbył się Rajd Jadwiżański. 6 października 2018 r.w sobotę, wczesnym rankiem zgromadziła się całkiem spora gromada amatorów pieszych wędrówek w różnym wieku, aby przejść ścieżką Św. Jadwigi od kościoła pod tym wezwaniem w Złotoryi aż do wzgórza zamkowego w Rokitnicy. Pogoda dopisała, było słonecznie, ale niezbyt gorąco, więc miło słuchało się pani Małgorzaty Szcześniak - koordynatora rajdu i zarazem przewodnika, która w ciekawy sposób opowiadała o historii życia patronki ścieżki. Należą jej się szczególne podziękowania, ponieważ prowadzi te rajdy od wielu lat. Na zamku w Rokitnicy czekało na uczestników ognisko przygotowywane corocznie przez tutejszą szkołę podstawową za zgodą pani Dyrektor Beaty Iwińskiej. Poczęstunek rajdowy w postaci kiełbasek sfinansowała, w tym roku po raz ostatni, pani Wójt Maria Leśna. Obu paniom serdecznie dziękujemy za wieloletnią współpracę. Cieszy nas, że doroczny rajd gromadzi wielu uczestników, ale jednocześnie myślimy nad zmianą jego formuły, aby przyciągnąć większą rzeszę dzieci, młodzieży oraz turystów. To jednak kwestia przyszłości, czyli XXII Rajdu.

Wioleta Michalczyk

Zdjęcia z dnia regionalisty: Małgorzata Godyń, Wioleta Michalczyk.

Zdjęcia z Rajdu Jadwiżańskiego: Aleksander Pecyna i Małgorzata Pokrywka.

XXI Rajd Jadwiżański

XXI Rajd Jadwiżański

„Czy Ty mnie kochasz jeszcze, Droga Mietko?”

„Kocham Cię jak dawniej, może jeszcze goręcej. Nie wolno Ci przypuszczać nawet aby moja miłość do Ciebie była zwykłym flirtem. Nie dałem do tego żadnych podstaw. (...) Bo naprawdę nie wiem kto bardziej cierpiał z nas z powodu tej rozłąki. Chciałbym wiedzieć co teraz myślisz o mnie, Najdroższa moja jak tylko człowiek jest zdolny kochać, tak kocham Ciebie. Ja ze swej strony obiecuję, że się porawię i myślę, że między nami nie będzie więcej żadnego nieporozumienia.”

Pewien zaprzyjaźniony pan Krzysztof – złota rączka – przy okazji kolejnych prac remontowych przyniósł znalezisko, bo wiedział, że odda w ręce, które pielęgnują pamiątki i je opisują. „Skarb” ukryty pod krokwią przeleżał lata, zachowując dla potomności okruchy miłości. Możliwe, że ten tekst wpadnie w ręce nadawcy lub adresatki, ożyją wspomnienia i wzruszenia. List ukryty został w ramce z obrazkiem przedstawiającym św. Franciszka. Na schowek wybrano miejsce starannie – suche i tajemne, w zakątku strychowym. Można snuć domysły; może była to miłość tajemna, może grzeszna, którą należało schować przed ciekawskimi oczami. Adresatka w zaciszu strychowym, być może, wielokrotnie czytałą ten list i odkładała na miejsce. A może zakochani stworzyli rodzinę, a list miał być miłosnym wianem dla dzieci – owoców ich miłości? Może... Teraz to już chyba nieważne. Nie ujawniamy adresu i nie szukamy spadkobierców, zachowamy się dyskretnie, powściągliwie niczym archiwiści, którym wpadł w ręce ważny dokument. Nam list podaoba się - coś przypomina, coś zapowiada. Może niejedna czytelniczka/czytelnik poczuje takie samo bicie serca jak Oni ze wzruszenia? Może...

Wkroczyliśmy w Nowy Rok i może warto odgrzać dawne rytuały kontaktowania się z bliskimi, pisząc do nich listy, w których opisywać będziemy nasze codzienne sprawy, przemyślenia, radości i smutki. List jest wspaniałą formą rozmowy, można do niej wrócić, informacje odświeżyć, wielokrotnie do nich nawiązywać, a w dalszych pisanych rozmowach rozwijać sprawy o nowe wątki. Sztuka pisania listów (epistemologia) spawiła, że obszerne listy ciekawych ludzi, głów koronowanych, ludzi świata i kultury wydawane są w zbiorach i stanowią dodatkowe źródło wiedzy o życiu i poglądach ich bohaterów. Dzięki zachowanym listom rodzinnym można wzbogacić genealogię o wydarzenia, których już nikt nie pamięta.

Może ktoś z czytelników zechce podzielić się listami, w których zawarte są historie ich rodziny?

A może warto przejrzeć stare obrazy i ramki w domu, czy one nie skrywają jakiejś tajemnicy?

Tekst i zdjęcia: Danuta Sosa

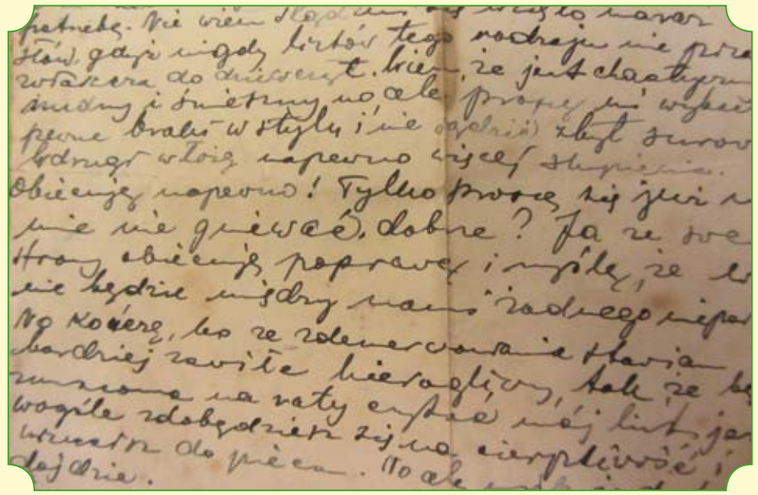

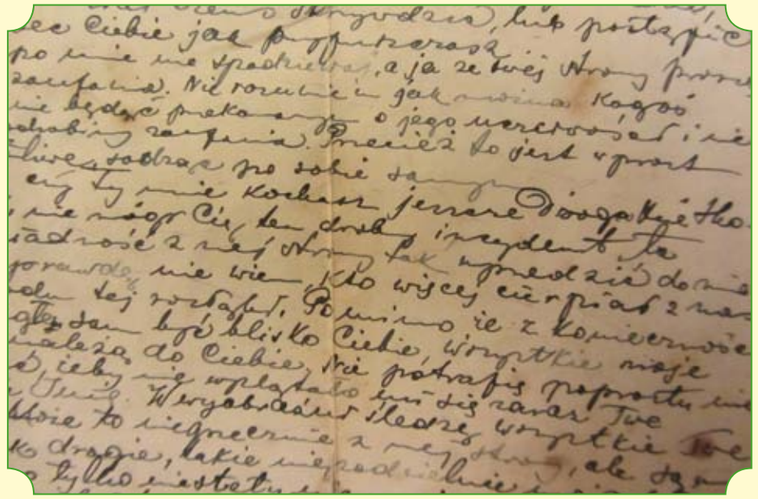

Kronika

15.11.2018 r. w Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji miały miejsce obchody Światowego Dnia Walki z Cukrzycą.
21.11.2018 r. w sali klubowej ZOKiR odbyła się promocja książki „Śląskie niebo Jürgena Gretschela”, autorstwa złotoryjanki Magdaleny Maruck.
22.11.2018 r. w Szkole Podstawowej w Wilkowie-Osiedlu odbył się powiatowy konkurs pieśni patriotycznej.
22.11.2018 r. Szkoła Podstawowa nr 3 w Złotoryi zorganizowała III Złoty Konkurs Historyczny.
22.11.2018 r. na scenie ZOKiR przedszkolaki z Przedszkola Miejskiego nr 2 przy ul. Górniczej uroczyście uczciły 100-lecie odzyskania niepodległości.
28.11.2018 r. w ZOKiR wystąpiła orkiestra kameralna Klassik Modern z Jeleniej Góry; dla dzieci ze szkół złotoryjskich zagrano melodie z filmów Walta Disneya.
30.11-1.12.2018 r. w Złotoryi odbyła się akcja „Świąteczna Zbiórka Żywności z Fundacją ANIMUS”.
4.12.2018 r. w Centrum Kultury, Sportu i Turystyki w Świerzawie odbyła się debata poświęcona Bezpieczeństwu na drogach Miasta i Gminy Świerzawa.
5.12.2018 r. w Szkole Podstawowej nr 3 w Złotoryi odbyła się promocja książki „Ocalić od zapomnienia”.
5.12.2018 r. w sali klubowej Złotoryjskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji odbyła się prezentacja budżetu miasta na rok 2019 zorganizowana przez burmistrza.
6.12.2018 r. w sali kinowej Złotoryjskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji odbył się Przegląd Piosenki Przedszkolnej “Dla Ciebie, Mikołaju 2018”.
7.12.2018 r. z wieży kościoła Mariackiego w Złotoryi rozpoczęto nadawanie nowego hejnału na gitarze elektrycznej w wykonaniu Jana Borysewicza.
7.12.2018 r. w ZOKiR odbyło się spotkanie z Szymonem Osowskim – prezesem Sieci Obywatelskiej Watchdog Polska; tematem spotkania były prawa obywateli do dostepu do informacji publicznej.
8-09.12.2018 r. w złotoryjskiej Hali „Tęcza” rozegrany został integracyjny turniej piłki siatkowej i piłki siatkowej na siedząco.
9.12.2018 r. w Krotoszycach odbył się XII „Kaczawski Jarmark Bożonarodzeniowy”.
10.12.2018 r. w Książnicy Płockiej im. Władysława Broniewskiego odbyło się uroczyste podsumowanie XXVIII edycji ogólnopolskiego konkursu literackiego dla dzieci i młodzieży „Młodzi twórcy literatury”, którego laureatem został złotoryjanin Wojciech Siwik, uczeń Szkoły Podstawowej Nr 1 w Złotoryi.
10.12.2018 r. odbyła się Wigilia Kresowian skupionych w Kole przy TMZZ.
12.12.2018 r. Miejska Biblioteka Publiczna w Złotoryi zorganizowała spotkanie autorskie podróżnika Arkadego Pawła Fiedlera pt. „Maluchem prez Afrykę”.
13.12.2018 r. w sali konferencyjnej PODN i PPP w Złotoryi odbył się finał VIII Powiatowego Konkursu na Prezentację Książki dla klas 4-8 szkół podstawowych.
15.12.2018 r. Street Dance Academy Złotoryja i Fundacja Rozwoju Człowieka TROOD zorganizowały taneczne pokazy świąteczne w Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji.
16.12.2018 r. na Zamku Grodziec miał miejsce III Jarmark Bożonarodzeniowy.
16.12.2018 r. w klasztorze franciszkanów w Złotoryi odbył się 1 Złotoryjski Franciszkański Jarmark Bożonarodzeniowy.
18.12.2018 r. Złotoryjskie Towarzystwo Tenisowe zorganizowało w hali „Tęcza” drugą edycję turnieju z cyklu Family Tennis Challenge o puchar Burmistrza Złotoryi.
22.12.2018 r. w holu ZOKiR odbył się pierwszy pchli targ „PRZYDAsię”.
24.12.2018 r. na złotoryjskim Rynku odbyła się XXIII Uroczysta Wigilia w Rynku.
27.12.2018 r. (w setną rocznicę wybuchu Powstania Wielkopolskiego) na złotoryjskim cmentarzu odbyło się spotkanie przy grobie Andrzeja Fiksy (1899-1985) – powstańca wielkopolskiego.

Opracował: Jarosław Jańta

Pod tą płytą mieści się kolektor główny o przekroju 1,2 m.

Wypłukane i sprasowane odpady stałe czyli skratki

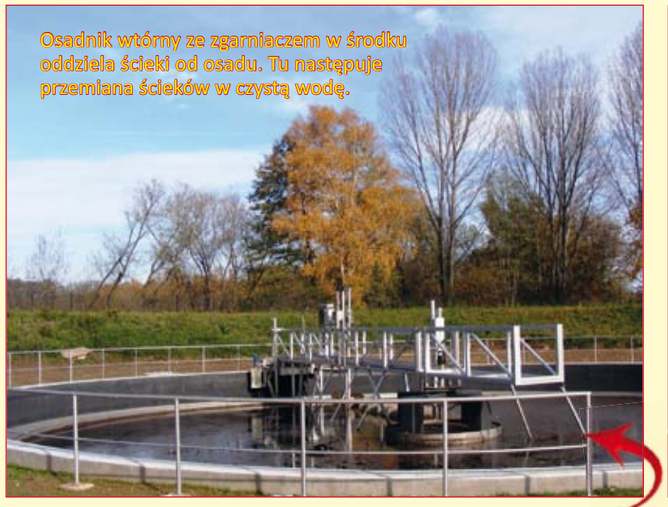
Osadnik wtórny ze zgarniaczem w środku oddziela ścieki od osadu. Tu następuje przemiana ścieków w czystą wodę.

Pompownia osadów

Fascynująca wędrówka ścieków

Kolektor zbiorczy

Za każdym razem, gdy używamy spłuczki w toalecie, nie zastanawiamy się, jaką drogę musi pokonać woda wraz z tym, co jest spłukiwane. Tymczasem jest to dość długa i kręta wędrówka. Każda toaleta w mieście połączona jest wieloma rurami i odgałęzieniami z kolektorem głównym, usytuowanym na terenie oczyszczalni ścieków.

Nasza złotoryjska oczyszczalnia przy pl. Sprzymierzeńców obsługuje całe miasto, czyli 98 procent mieszkańców (dwa procenty złotoryjan korzystają z szamb przydomowych), do tego dochodzą cztery tysiące mieszkańców gminy wiejskiej Złotoryja.

– Nie mogę teraz odsunąć tej ciężkiej betonowej pokrywy, musi mi pani uwierzyć na słowo, że pod spodem jest kolektor, z którego wypływają ścieki. Pokrywa musi tu być ze względów bezpieczeństwa – mówi kierowniczka Oddziału Gospodarki Ściekowej RPK w Złotoryi Magdalena Mioduszewska, która dzisiaj jest moją przewodniczką po tajemniczych urządzeniach oczyszczalni.

Jestem trochę rozczarowana, ale robię zdjęcie płyty, i słucham uważnie dalej.

– **Kolektor** (z łac. zbieracz) zbiera ścieki, ale też i wody opadowe. To potężna rura o przekroju 1,2 m z szeregiem odgałęzień – kontynuuje pani inżynier. – Tą drogą bez przerwy, dzień i noc, napływają hektolitry ścieków.

Oczyszczalnia aktualnie jest w trakcie modernizacji. Jej całkowite zakończenie przewiduje się na marzec 2019 roku. Całość ma kosztować 46 milionów złotych, w tym są środki unijne w kwocie 24 milionów złotych.

Co to jest skratka?

Pani inżynier prowadzi mnie teraz do budynku, gdzie w nozdrza uderza mnie zgniły, duszny odór. Mam ochotę się cofnąć, ale postanawiam wytrzymać. Zaczynam oddychać ustami, lecz za chwilę nos się przyzwyczaja.

– Nieprzyjemny zapach jest jeszcze tylko tutaj, gdyż wkrótce zostaną uruchomione biofiltry do biologicznego oczyszczania powietrza. Zaręczam, że na terenie całej oczyszczalni nie poczuje pani nic nieprzyjemnego – zapewnia mnie moja przewodniczka.

Płynne ścieki, wpływające kolektorem głównym, zawierają sporo zanieczyszczeń stałych, które płyną lub są wleczone po dnie kanału. Dlatego przed zasadniczym oczyszczaniem biologicznym muszą zostać odseparowane. Następuje to w **budynku krat** na dwóch kratach mechanicznych, na które odpowiednie zgrzebła nanoszą większe odpady stałe. Te nieczystości noszą wdzięczną nazwę **skratki**, a w ich skład wchodzą głównie odpady kuchenne, papier i tekstylia, lecz zdarzają się też telefony komórkowe, portfele oraz zegarki. Następnie nieczystości są transportowane do **prasopłuczki**, gdzie następuje ich płukanie i prasowanie. Na sprasowanych odpadach, które piętrzą się w specjalnym zbiorniku, widać wyraźnie części papieru, patyczki i inne odpady organiczne. Nieprzyjemnego zapachu już nie wydzielają. Te odpady, mocno zmniejszone objętościowo, są wywożone na wyznaczone składowiska.

Piaskowniki wirowe Geigera

Ścieki płynne, które niesie kolektor główny, zawierają bardzo dużo piasku, pochodzącego głównie z ulic i chodników miejskich. On też musi zostać odseparowany. W tym celu ścieki kieruje się do urządzeń zwanych **piaskownikami Geigera**. Są to ogromne leje, gdzie piasek najpierw opada na dno, a następnie dzięki ruchom wirowym oraz pracy pomp zostaje odseparowany od ścieków. Teraz oczyszczony i suchy piasek leży w zgrabnej pryzmie pod ścianą jednego z budynków. Niewiarygodne, że to, co niosą brudne, cuchnące ścieki, potrafi przybrać taki schludny wygląd.

Do następnego etapu muszą trafić ścieki bez zanieczyszczeń stałych, bowiem od tego zależy jakość oczyszczonej cieczy, która trafi ostatecznie do Kaczawy.

Góry czystego piasku odseparowane ze ścieków miejskich

Reaktor biologiczny

Po oczyszczeniu mechanicznym tzw. surowe ścieki płyną do reaktora biologicznego. Po drodze w przypadku ulewnych deszczów lub roztopów jest możliwość ich zatrzymania w **zbiorniku retencyjnym** (łac. *retentio* – zatrzymanie, powstrzymanie). Stąd już powolutku, bez zakłócania całego procesu, ścieki kierowane są do biologicznego oczyszczenia.

Reaktor biologiczny to ogromne betonowe zbiorniki połączone ze sobą, w których widać płynne już ścieki. Wyglądają dość nieprzyjemnie, na powierzchni pływają jakieś bąble i purchle, które coraz pękają i tworzą się nowe. Cała zawartość jest szara i nieprzejrzysta. Mimo to nie wydają żadnej nieprzyjemnej woni. Pomiędzy zbiornikami wiedzie betonowy pomost, służący pracownikom, kontrolującym proces oczyszczania. Tutaj umieszczono też szafki, skąd procesami biologicznymi steruje się za pomocą automatyki.

W czołowej części reaktora biologicznego wydzielono po dwie komory w dwóch niezależnych ciągach. W mętnej cieczy bez przerwy chodzą olbrzymie mieszadła, aby równomiernie rozprowadzić pożądane bakterie. Jest to mieszanka wyselekcjonowanych naturalnych szczepów bakterii oraz enzymów, przyspieszających neutralizację i rozkład ścieków. Zwane jest to „szczepieniem" osadu. W komorze **defosfatacji** jest biologicznie usuwany azot i fosfor. W drugiej komorze – **denitryfikacji** – do pracy zaprzęgnięto bakterie, które usuwają szkodliwy amoniak. Specjalne dmuchawy bez przerwy tłoczą tu tlen, aby utrzymać przy życiu dobroczynne bakterie. Całym procesem sterują sondy tlenowe. Zimą ten proces też zachodzi, bowiem ścieki nigdy nie zamarzają. Ich temperatura może spaść do minimum ośmiu stopni Celsjusza.

Osadniki wtórne

Ostatnim krokiem oczyszczania jest oddzielenie ścieków od osadu czynnego. Odbywa się to w **osadnikach wtórnych**. To dwa okrągłe zbiorniki żelbetowe, zagłębione pięć metrów poniżej terenu. W środku pracuje ogromne urządzenie – **zgarniacz** – przesuwające osad z dna zbiornika do **leja osadowego**. W leju następuje klarowanie, czyli oddzielenie ścieków od osadu czynnego.

I tu następuje niezwykły proces. Na moich oczach z mętnej cieczy, poruszanej bezustannie przez zgarniacz, wypływa czysta, perlista woda. Patrzę na to zafascynowana i nie mogę uwierzyć. To naprawdę czysta woda! Zmiana brudnych, mętnych ścieków w przejrzystą wodę, w której odbijają się promienie słońca, sprawia wrażenie czarów. To fascynujące.

Klarowne już odcieki, poprzez pompownię przerzutową kierowane są do potoku Młynówka, a dalej do rzeki Kaczawy.

Pozostaje jeszcze sprawa oddzielonego osadu. Część jest kierowana z powrotem do reaktora biologicznego, a część trafia do **zbiornika osadu nadmiernego**. Tam masa bakteryjna osadu jest poddawana procesowi fermentacji, odwadnianiu i higienizacji (w celu zabicia jaj pasożytów i salmonelli). W ten sposób ustabilizowany osad jest wykorzystywany do rekultywacji terenów zielonych, pod uprawy roślin nieprzeznaczonych do spożycia, głównie do produkcji biopaliw, itp.

Oczyszczalnią miejską kieruje Magdalena Mioduszewska, technologiem jest Izabela Łucka, a w laboratorium pracuje Monika Świżewska. Resztę załogi stanowią pracownicy obsługi w liczbie 12 mężczyzn: wysoko kwalifikowani elektrycy, operatorzy maszyn i urządzeń, mechanicy.

Koniec wędrówki

– O, a to jest potok Młynówka. Oczyszczone ścieki zrzucane są tutaj poprzez stację pomp, a dalej potok wraz z tymi oczyszczonymi ściekami wpływa do płynącej nieopodal Kaczawy. Jest to też miejsce, gdzie pobieramy próbki wody do badania w naszym laboratorium – prowadzi mnie już poza teren oczyszczalni pani Magdalena Mioduszewska.

Patrzę, jak czysta woda z oczyszczalni – nazywana tu jeszcze ściekami – wpływa z hałasem do potoku. W samym potoku woda jest krystalicznie czysta, na dnie widać żwirek i drobne kamienie. Nieco dalej wesoło pływają jakieś drobne rybki.

Ścieki, które na początku drogi były brudną, cuchnącą cieczą, w trakcie swojej wędrówki zmieniły się w czystą, zdrową wodę.

Proces oczyszczania zakończony.

Laboratorium

Oczyszczone ścieki, wpadające do potoku, nie są zostawione w spokoju. Teraz wkracza do pracy laborantka, która, zaprzęgając do pomocy całą potęgę chemii, codziennie bada próbki ścieków wydobyte właśnie z koryta Młynówki.

W laboratorium jest czysto, jasno i przestronnie. To królestwo pani Moniki Świżewskiej.

– Laboratorium służy do codziennego monitoringu jakości procesu oczyszczania ścieków – rozpoczyna swoje objaśnienia laborantka.

Znajdują się tu urządzenia, z których każde służy do wykonywania określonych analiz. Między innymi jest to **spektrofotometr**, który mierzy ilość światła absorbowanego przez próbkę, czyli za jego pomocą można oznaczyć obecność i stężenie substancji (pożądanych i niepożądanych) w danej próbce. Dużo miejsca w laboratorium zajmuje **wyciąg**, gdzie wykonywane są wszelkie analizy.

W celu pobrania próbek pani Monika Świżewska bierze do ręki specjalne metalowe pojemniki (kanki), które zanurzy w ściekach na różnych etapach procesu oczyszczania, i udaje się w teren.

– Próbki pobieram dwa razy dziennie. Sprawdzam, czy jakość ścieków odprowadzana do Kaczawy spełnia standardy, jakie są określone przez pozwolenie wodnoprawne. Badaniom jest poddawany ściek surowy, próbki z bloku biologicznego oraz ściek oczyszczony.

Po powrocie laborantka przebiera się w fartuch, wkłada rękawiczki i przystępuje do analiz próbek, które stoją już przygotowane w zlewie. Wyniki jej pracy przekazywane są technologowi oczyszczalni, pani Izabeli Łuckiej, która ocenia, czy warunki procesu oczyszczania są prawidłowe, czy też należy cokolwiek w nim zmienić.

Obserwując kolejne fazy analiz i słuchając objaśnień, zdaję sobie sprawę, jak wiele wysiłku i kosztów trzeba włożyć w to, aby nasze rzeki były czyste. Czy się opłaca? Chyba tak, bo teraz – jak przed wielu, wielu laty – można odważyć się wypić wodę bezpośrednio z rzeki, nie narażając się na zatrucie. W każdym razie ja już piję taką wodę, co prawda na razie tylko z górskich potoków, lecz od czegoś trzeba zacząć, czyż nie?

Tekst i zdjęcia Agnieszka Młyńczak

Reaktor biologiczny z dobroczynnymi bakteriami

Ścieki w postaci czystej wody zrzucane są do potoku Młynówka, a dalej do Kaczawy. Stąd też są pobierane próbki ścieków do badania.

Analizy próbek ścieków w laboratorium fizykochemicznym oczyszczalni.

Fot. Gazeta Złotoryjska

Od lewej: Agnieszka Zawiślak, Waldemar Wilczyński, Adam Bartnicki

Wybory samorządowe 2018

Szybko minęła pierwsza kadencja burmistrza Roberta Pawłowskiego i czteroletni okres rządów Rady Miejskiej, wybranej w 2014 r. Od połowy 2018 r. większość złotoryjan śledziła rozwijającą się kampanię wyborczą, a kilkaset osób mocno się w nią zaangażowało. Tym bardziej, że ustawa przedłużyła nowe kadencje władz lokalnych do 5 lat.

Najpierw zaczęły docierać informacje o kandydatach na urząd burmistrza. W czerwcu 2018 r. Zarząd Okręgowy Prawa i Sprawiedliwości powierzył ubieganie się o ten mandat Agnieszce Markiewicz, kilkanaście dni później swój start ogłosiła Barbara Zwierzyńska-Doskocz. Do września czekali Ireneusz Żurawski i Robert Pawłowski. Gdy w sierpniu poparcie dla kandydatury Zwierzyńskiej-Doskocz ogłosiła Platforma Obywatelska, swoją kandydaturę oficjalnie ogłosił łodzianin Grzegorz Galiński (od co najmniej dwóch lat to zapowiadał), jednak jego komitet wyborczy "3xNie – Niezależni, Niezłomni, Nieprzekupni" nie zdołał później zarejestrować ani swego lidera, ani kandydatów na radnych.

Komitety wyborcze zarejestrowały 77 kandydatów na radnych. We wszystkich jednomandatowych 15 okręgach zgłosiły swoich faworytów komitety B. Zwierzyńskiej-Doskocz oraz I. Żurawskiego, o jednego mniej komitet R. Pawłowskiego, a PiS obsadził 13 okręgów. Trzeba zaznaczyć, że B. Zwierzyńska-Doskocz, A. Markiewicz oraz I. Żurawski startowali jednocześnie na urząd burmistrza i radnego. W ośmiu okręgach pojawili się kandydaci SLD Lewica Razem, w czterech komitet "Złote Miasto" Piotra Richtera. Oprócz wymienionych zarejestrowało się jeszcze ośmiu kandydatów, którzy powołali swoje "jednoosobowe" komitety.

Kampania wyborcza przyniosła jak zwykle niezliczoną ilość ulotek, plakatów, naklejek, kalendarzyków i banerów. Pojawiły się jednodniówki "Głos żurawia" (Gospodarz z wizją), "Działajmy Razem" (hasło B. Zwierzyńskiej-Doskocz), w materiałach komitetu wyborczego R. Pawłowskiego (Łączy nas Złotoryja) apelowano, by nie dać się podzielić. A. Markiewicz przedstawiała "Złotoryję nowych możliwości". Kandydaci organizowali spotkania z wyborcami, zjawiali się w mieszkaniach, a nawet w Urzędzie Miejskim (by "sprostować plotki"). Chyba po raz pierwszy zniknął baner jednego z kandydatów na burmistrza, jak zwykle "ozdabiano" plakaty i banery różnymi uwagami.

21 października, w wyborach burmistrzowskich, na 12 723 uprawnionych wyborców, oddano 6660 głosów ważnych i 75 nieważnych (frekwencja 53%). B. Zwierzyńska-Doskocz otrzymała 2054 głosy, R. Pawłowski -1934, I. Żurawski -1811, A. Markiewicz - 861.

W poszczególnych okręgach radnymi zostali: Adam Bartnicki (207 głosów, KWW A. Bartnicki), Grzegorz Łoś (121, KWW G. Łoś), Waldemar Wilczyński (135, KWW B. Zwierzyńska-Doskocz), Agnieszka Zawiślak (97, KWW A. Zawiślak), Ewa Miara (87, KWW I. Żurawski), Józef Banaszek (104, KWW I. Żurawski), Barbara Listwan (134, KWW B. Zwierzyńska), Leszek Antonowicz (193, KWW Łączy nas Złotoryja), Stanisław Pazera (225, KWW Łączy nas Złotoryja), Barbara Zwierzyńska-Doskocz (180), Paweł Maciejewski (151, KW PiS), Marcin Gagatek (166, KWW Łączy nas Złotoryja), Dariusz Spychała (160, KWW B. Zwierzyńska), Eugeniusz Pożar (149, KWW SLD Lewica Razem), Paweł Okręglicki (134, KWW P. Okręglicki).

Średnia wieku rajców wynosi prawie 51 i pół roku, najstarszymi są Józef Banaszek i Eugeniusz Pożar (obaj 69 lat), najmłodszym Grzegorz Łoś (32 lata).

Podczas głosowania trzy komisje okręgowe mylnie wydały w sumie kilkadziesiąt kart wyborczych, wskutek czego wyborcy aż z sześciu okręgów ze zdumieniem zobaczyli innych kandydatów (takiej skali pomyłek nie zaobserwowano zapewne nigdy wcześniej). Dodajmy, że równocześnie dwie złotoryjanki startowały do Sejmiku Województwa Dolnośląskiego: Jadwiga Szeląg (Koalicja Obywatelska, z sukcesem) i Monika Kaczmarek (Bezpartyjni Samorządowcy, nie uzyskała mandatu).

4 listopada odbyła się druga tura wyborów burmistrza Złotoryi. Komitet wyborczy R. Pawłowskiego zaproponował B. Zwierzyńskiej-Doskocz debatę kandydatów - propozycja została odrzucona. Tym razem uprawnionych do głosowania było 12 676 osob, oddano 5705 głosów ważnych oraz 31 nieważnych. Robert Pawłowski uzyskał 3014 głosów (52,8 %) a B. Zwierzyńska-Doskocz 2691 (47,2%).

W następnych tygodniach Sąd Okręgowy w Legnicy otrzymał trzy protesty dotyczące wyborów do Rady Miejskiej. Artur Kuba, startujący z listy B. Zwierzyńskiej-Doskocz, w okręgu nr 9 (uzyskał 211 głosów, o 14 mniej niż S. Pazera) powoływał się na fakty mylnego wydawania kart do głosowania (lokal na jakiś czas zamknięto), co, jego zdaniem, uniemożliwiło oddanie na niego głosów przez grupę wyborców (sąd protest odrzucił). Do tej pory nie ma rozstrzygnięcia protestu, złożonego przez Rafała Zaczkowskiego, reprezentującego również KWW B. Zwierzyńskiej-Doskocz, który przypuszcza, że w okręgu nr 6 podrzucona została karta wyborcza z głosem na Józefa Banaszka, przez co obaj uzyskali po 104 głosy – potem odbyło się losowanie, szczęśliwe dla J. Banaszka, bez udziału przedstawiciela KWW Zwierzyńskiej. Protest nadesłał najprawdopodobniej także Dariusz Widomski (SLD Lewica Razem), którego 11 głosami wyprzedziła Ewa Miara w okręgu nr 5.

Burmistrz i nowa Rada Miejska kadencji 2018-23 nie mogli czekać na rozstrzygnięcia sądu. 22 listopada Robert Pawłowski i rajcy złożyli ślubowanie a następnie ukonstytuowały się

Fot. Jan Borawski

władze Rady. Przewodniczącym został wybrany Waldemar Wilczyński, wiceprzewodniczącymi Agnieszka Zawiślak i Adam Bartnicki. Komisjami Rady kierować będą: budżetu i finansów – Józef Banaszek, rewizyjną – Leszek Antonowicz, gospodarczą – Paweł Maciejewski, oświaty, kultury i sportu – Marcin Gagatek, bezpieczeństwa, zdrowia i spraw społecznych – Paweł Okręglicki, skarg, wniosków i petycji – Barbara Listwan. Obrady pierwszej sesji Rady prowadził na początku Józef Banaszek jako radny senior.

Roman Gorzkowski

Czas wyborów i czas refleksji po wyborach

Opada powoli wyborczy kurz. Wybory samorządowe w małych miejscowościach są szczególnie ważne. Znamy wszystkich kandydatów w mieście, w gminie, wielu w powiecie. Będziemy ze wszystkimi współpracować także po wyborach. Jak nie zniszczyć dotychczasowych kontaktów i wykorzystać dla miasta, gminy, powiatu wielką energię wszystkich kandydatów, a szczególnie wybranych radnych do pracy na rzecz ziemi złotoryjskiej? Jak podzielić skromne funkcje, które są w samorządach, tak aby nie zniechęcić a wręcz zachęcić do pracy już wybranych radnych. Bardzo dobrze podzielono funkcje w radzie miasta Złotoryi. Aż trzy komitety wyborcze podzieliły się funkcjami.

W moim przekonaniu trochę gorzej podzielono funkcje w Radzie Powiatu. Nie cała rada będzie równo i z satysfakcją pracowała na rzecz ziemi złotoryjskiej. A ważnych spraw do załatwienia mamy wiele. Najważniejsza to sprawa odzyskania i przywrócenia do normalnej pracy i dobrej opinii szpitala w Złotoryi. Równie ważna sprawa zadłużenia powiatu. Z czego ono powstało? Może nie z naszej winy? Tu potrzebna byłaby praca i zaangażowanie całej rady. Możemy oczywiście nie mieć sympatii do radnych pochodzących z jakiegoś komitet wyborczego. Ale przecież my, tu w naszej małej ojczyźnie, musimy się wspierać i razem pracować na naszą wspólną rzecz. Oczywiście, że nigdy nie poprzemy partii, która łamie konstytucję, bawi się w rozdawnictwo i niszczy naszą ojczyznę. Ale tu w Złotoryi jesteśmy sąsiadami, razem chodziliśmy do szkoły, razem pracujemy. Tu nie jesteśmy żadną partią.

Czy już nic się nie da zrobić, poprawić, polepszyć?

Aleksander Borys

Z uczuciem głębokiego żalu przyjęliśmy wiadomość, że 1 stycznia 2019 r. odeszła Córka naszej Koleżanki

Iwona Joanna Pisarska

W pamięci tych, którzy ją znali pozostanie obraz Człowieka wielkiej dobroci, pogody i kultury.

Wyrazy szczerego współczucia składamy Mężowi - Sławomirowi, Synkowi - Julianowi, Bratu - Szymonowi i Rodzicom: Helenie i Tadeuszowi Szułkowskim

Koleżanki i Koledzy
z Towarzystwa Miłośników
Ziemi Złotoryjskiej

Fot. Jan Borawski

Fot. Jan Borawski

Fot.Roman Gorzkowski

Fot. Jan Borawski

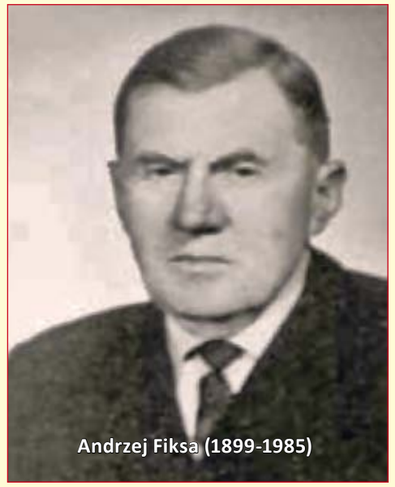
Andrzej Fiksa (1899-1985)

Grób Andrzeja Fiksy i jego żony Heleny na złotoryjskim cmentarzu (sektor E3, rząd 6, nr grobu 2)

Nasz powstaniec wielkopolski

To był prawdopodobnie 1984 rok. Razem z Robertem Grogulskim zostaliśmy lekko przymuszeni przez pana Henryka Pawłowskiego, który natenczas uczył nas przysposobienia obronnego, aby udokumentować fragment życia pana Andrzeja Fiksy – powstańca wielkopolskiego, który mieszkał w Złotoryi, zdaje się, że na ul. Wojska Polskiego. Pan Andrzej miał wówczas 85 lat, lecz jego pamięć wydarzeń sprzed 65 lat nadal niezwykle świeża.

Andrzej Fiksa urodził się 23 października 1899 r. w Lubocześnicy - powiat Szamotuły - dawne województwo poznańskie, w rodzinie chłopskiej. Ukończył tam szkołę podstawową. Szkołę wprawdzie polską, lecz po polsku mówiono tylko raz w tygodniu – w środy. W inne dni dzieci musiały rozmawiać po niemiecku. Mimo to wyrósł z silnie zakorzenioną świadomością narodową, tym mocniejszą, że wykształconą, w jakże trudnych warunkach.

W 1914 r. wybuchła I wojna światowa. Do wojska powoływano również kolejne roczniki Polaków – obywateli pruskich, mieszkających w Wielkopolsce. 20 czerwca 1917 r. przyszło i powołanie do osiemnastoletniego Andrzeja Fiksy. Wysłano go do Poznania, gdzie przez rok przeszedł szkolenie na kanoniera „wypałowego" w artylerii ciężkiej.
W tym czasie armia niemiecka od dłuższego już czasu utknęła w okopach we Francji, a nawet zaczęła się wycofywać. Nie lepiej wyglądała sytuacja w Rosji, gdzie do władzy doszli właśnie bolszewicy. Coraz częściej na front wysyłano młodych Polaków, karmionych nadzieją, że po wojnie mogą liczyć na pewne przywileje, jako narodowość w państwie pruskim.

Przyszedł wreszcie moment, gdy szkolenie zostało zakończone i oddział Andrzeja Fiksy został wysłany na front zachodni do Flandrii w okolice Ypres. Walczyli tam ze świadomością, że w okopach, które bombardują, mogą siedzieć Polacy służący w armii francuskiej. Wkrótce zastał ich tam koniec wojny. Dzień i noc przedzierali się do Niemiec, aby uniknąć niewoli alianckiej.

Spoczęli dopiero w Westfalii. W jednym z miast załadowano ich do pociągu i przewieziono do Królewca, gdzie zostali zakwaterowani w koszarach wojskowych. 27 grudnia 1918 r. w Poznaniu wybuchło powstanie wielkopolskie. Polacy chcieli, aby zwolniono ich do rodzin. Jednak dowódca baterii (Niemiec), odpowiedział im, że nie może tego zrobić ze względu na powstanie. Nie dali jednak za wygraną i wreszcie wywalczyli czternastodniowy urlop wypoczynkowy.

Gdy przyjechał do Krzyża nad Notecią, został zatrzymany przez żandarmerię wojskową. Nie pozwolono mu dalej jechać, mógł jedynie wrócić do Królewca. Jego obowiązkiem, obowiązkiem Polaka, było jednak przedostanie się do powstańców, do Sierakowa. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, udał, że zawrócił z drogi. Przedtem jednak upatrzył sobie most kolejowy prowadzący przez Noteć.

Gdy było już ciemno, przekradł się w pobliże mostu, a następnie, niezauważony przez nikogo, przeprawił się po nim na drugi brzeg. Tam wpadł wprost na niemieckiego żandarma.
- Halt! – zatrzymał go – Gdzie idziesz? – spytał po niemiecku.
- Do domu. Mam urlop – wyjaśnił.
Po dłuższej rozmowie żandarm dał się wreszcie przekonać i puścił go wolno. Na odchodne kazał mu się wystrzegać Polaków.

Koło wioski Nowe Kniejce spotkał starszego już człowieka. Zapytał go o dalszą drogę do Sierakowa. Zagadnięty zaczął coś mówić łamaną niemczyzną.
- Pan Polak?! – zawołał uradowany Andrzej.
Ponieważ było już ciemno, napotkany przenocował go we własnym domu. Następnego dnia, bardzo wcześnie rano wskazał mu drogę do Sierakowa i ostrzegł go przed patrolami niemieckimi.

Tego samego dnia doszedł do Sierakowa nad Wartą. Tuż przed samym miastem zatrzymał go polski patrol wojskowy. Na pytanie skąd idzie – opowiedział o swoich przygodach po drodze. Został skierowany do komendanta. Po długiej rozmowie zwolniono go do domu, gdzie przebywał tylko 4 dni.
Po tym czasie znów zgłosił się na powstańczą komendę. Akurat do miasta przyjechały furmanki. Wszystkich ochotników załadowano na wozy i zawieziono na front, na odcinek Gralewo Wielkie – Małe Mnichy – Wielkie Mnichy – Kamionna – kierunek Międzychód. Było to 28 stycznia 1919 r. Tę datę pamiętał bardzo dobrze, ponieważ wtedy przystąpił do powstania wielkopolskiego.

A oto jak ten okres walk pod Międzychodem opisują źródła historyczne: Od 7.01.1919 r. wieś Kamionna znajdowała się na linii walk powstańczych. 16.01. Niemcy, wspierani ogniem artylerii, wyparli powstańców ze wsi. Brawurowy atak powstańców pod dow. aspiranta Adama Kowalczyka i kompanii z Kwilcza zmusił Heimatschutz do panicznej ucieczki. Niemcy zostawili wielką ilość karabinów i amunicji, dwa ciężkie karabiny maszynowe, rannych i poległych. Zwycięstwo to przesunęło pozycje powstańców bliżej Międzychodu i umocniło. 17.02.1919 r. Niemcy podjęli próbę przełamania linii obrony powstańców pod Gralewem. Starcie zakończyło się sukcesem powstańców, którzy posunęli się na odległość 5 km od centrum Międzychodu. Była to ostatnia większa bitwa powstania wielkopolskiego.

W okresie międzywojennym pamięć poległych uczczono pomnikiem. 7.01.1967 r. odsłonięto przy szkole nowy pomnik ku czci poległych za wolność ojczyzny w latach 1918-19 i 1939-45.

W Kamionnej znajduje się Szkoła Podstawowa im. Powstańców Wielkopolskich. Uczniowie tej szkoły opiekują się stojącym przy placówce pomnikiem oraz mogiłami powstańców na miejscowym cmentarzu. [...] Element żołnierski był we wszystkich oddziałach powstańczych znakomity, główną siłę bojową stanowili oficerowie, podoficerowie i szeregowcy wyszkoleni w armii niemieckiej. Najsłabszą cząstką składową oddziałów polskich pod względem doświadczenia i sprawności bojowej byli nieprzygotowani małoletni ochotnicy i starsi wiekiem, niezdolni przezwyciężyć codziennych trudów na froncie. Główną i górującą zaletą wszystkich był wzniosły duch, pewność zwycięstwa i gorąca chęć bicia Niemców, gdziekolwiek się zjawią. Dobra i rozumnie przeprowadzona organizacja przyczyniła się nie mniej do podniesienia wartości bojowej jednostek frontowych. Podczas powstania drużyny nie były należycie uzbrojone: fuzje myśliwskie, karabiny najrozmaitszych systemów, mała ilość amunicji, noże, kosy, cepy itp. - oto wszystko, czem powstańcy walczyli o wolność Wielkopolski. Oddział powstańców sierakowskich stale wzrastał na sile przez wstępowanie do niego dalszych ochotników różnych formacji. Przyłączali się do niego zdemobilizowani żołnierze polscy z armii niemieckiej, wracający w rodzinne strony. W ten sposób kompania sierakowska stale się wzmacniała.[...]. (Sierakowskie Zeszyty Historyczne 1918-1919 nr 3. Marzec 2009 r.)

16 stycznia naczelne dowództwo powstania objął generał Józef Dowbor-Muśnicki. Zanim to nastąpiło, udał się do Warszawy na rozmowę z Józefem Piłsudskim. Generał kontynuował organizację Armii Wielkopolskiej wprowadzając m.in. obowiązkową służbę wojskową i powołując pod broń 11 roczników rekrutów, dzięki czemu udało mu się ostatecznie stworzyć blisko 100-tysięczną armię. Znaczna jej część wzięła udział w wojnie polsko-bolszewickiej.

Wróćmy jednak do opowieści Andrzeja Fiksy sprzed kilkudziesięciu lat: Jak wyglądała wówczas sytuacja na froncie? Od 27 grudnia 1918 r. do 16 stycznia 1919 r. powstanie osiągnęło decydujące sukcesy militarne i polityczne. Powstaniem kierował Komisariat Naczelny Rady Ludowej, a głównym dowódcą był mjr Stanisław Taczak. Istniały trzy fronty: na północy wzdłuż Noteci, na południu wzdłuż linii Rawicz – Ostrów, na zachodzie wzdłuż pasa jezior i błot obrzańskich.

11 stycznia 1919 r. grupa powstańców odcinka Wolsztyn rozpoczęła historyczny marsz w kierunku Kargowej. Tymczasem pod koniec stycznia armia powstańcza liczyła niespełna 200 oficerów i 27,5 tys. żołnierzy, by w marcu powiększyć swój stan do 72 tys. W połowie stycznia silne jednostki niemieckie, wspierane przez ugrupowania miejscowych Niemców, przystąpiły do ofensywy. 8 stycznia powstańcy ponieśli klęskę pod Szubinem. Parę dni później – 11 stycznia zwyciężyli pod Osieczną. Walki zostały zakończone rozejmem w Trewinie 16 lutego 1919 r. Wytyczona linia demarkacyjna przebiegała w zasadzie wzdłuż granic terenów wyzwolonych przez powstańców.

Na odcinku Gralewo Wielkie – Małe Mnichy – Wielkie Mnichy – Kamionna jednostka, w której walczył Andrzej Fiksa pozostała jeszcze przez pewien czas. Wreszcie skierowano ich na wypoczynek do Pniew, a następnie do Wronek, gdzie zakwaterowano ich w starym poniemieckim więzieniu. Tam przeformowano ich na kompanie i przydzielono do 1. batalionu 2. pułku Strzelców Wielkopolskich, czyli 56. pułku piechoty. Dowódcą kompanii był mjr Żągowski. Stamtąd wysłano pułk pod Zbąszyń na granicę polsko-niemiecką, gdzie przebywał aż do zimy.

W grudniu zostali przerzuceni na front wschodni, gdzie armia rosyjska próbowała przedrzeć się poprzez Prusy Wschodnie do Polski i uderzyć w głąb kraju. Józef Piłsudski skierował ich oddział w ten rejon. 2. pułk Strzelców Wielkopolskich po zaciętych walkach dotarł aż nad Dźwinę.

W czasie odwrotu pod Słominem został lekko ranny i znalazł się w szpitalu w Piotrkowie. Wynika z tego, że nie wziął udziału w Bitwie Warszawskiej. Po wygojeniu się rany, dotarł do swojego pułku i wziął udział w pościgu za wycofującą się armią rosyjską.

5 lipca 1922 r. został zwolniony do cywila. Osobny rozdział w życiu Andrzeja Fiksy to okupacja niemiecka, tym trudniejsza i niebezpieczniejsza dla niego, jako powstańca wielkopolskiego. Swoje dokumenty, będące świadectwem udziału w powstaniu ukrył w piwnicy.

Wkrótce musiał opuścić Wielkopolskę i resztę wojny spędził pod Warszawą, pracując w fabryce tekstylnej. Zaraz po zakończeniu wojny wrócił do domu, ale zastał tam już nowego właściciela. Poprosił go tylko o zwrot dokumentów i chcąc nie chcąc opuścił Wielkopolskę udając się na tzw. „ziemie odzyskane".

Od 1946 r. Andrzej Fiksa mieszkał w Złotoryi. Tu pracował jako dróżnik na przejeździe kolejowym, wychował syna i bacznie obserwował wszystko, co działo się w Polsce. Którąś z kolei rozmowę pan Andrzej zakończył słowami: „I tak pragnę, żeby była czysta Polska. My chcemy prawdziwej Polski, na to setki i tysiące ludzi walczyło o dobrą Polskę, o wolność prawdziwą". *W połowie lat osiemdziesiątych dwóch licealistów nie było w stanie do końca pojąć sensu i głębi tych słów. Tym bardziej dzisiaj z pewnym wzruszeniem czytam je na nowo.* I tak zawsze, ilekroć wypowiadał słowo „Polska", mówił to z wielką czcią. Mówił to tak, jak tylko prawdziwy patriota, który przelewał krew za Ojczyznę, mówić potrafi.

Tyle zapis sporządzony wiele lat temu, niespełna rok przed śmiercią pana Andrzeja Fiksy. Zapis, o którym zdążyłem zupełnie zapomnieć. Przypomniał mi o nim Ryszard Pękała – Rektor Wyższej Szkoły Medycznej, który wraz z Prezesem legnickiego oddziału Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego 1918-1919 – nieżyjącym już Czesławem Kowalakiem zbierał i pielęgnował pamiątki i dokumenty związane z powstaniem wielkopolskim. Do zbiorów tych trafiła i ta skromna praca o panu Andrzeju. Dzięki temu nie przepadła bezpowrotnie ta cząstka historii i człowiek, który ją tworzył.

Żałuję tylko, że nie dopytaliśmy wtedy pana Andrzeja o wiele szczegółów, nie rozwinęliśmy z nim wielu wątków, które pojawiły się podczas rozmowy, jak choćby ten związany z wojną polsko-bolszewicką, czy czasami okupacji niemieckiej. A cały okres międzywojenny?

Jak w tym wszystkim, w 55. rocznicę powstania odebrał przyznanie mu przez Radę Państwa Wielkopolskiego Krzyża Powstańczego? Czy cieszył się, że Powstanie wreszcie doczekało się uznania i że odnaleziono jego - powstańca w dolnośląskiej wszak Złotoryi? Na legitymacji podpisał się ówczesny Przewodniczący Rady Państwa – Henryk Jabłoński. Znamienne, że krzyż przyznano w 1974 r. Czyżby dlatego, żeby nie eksponować 1918 roku?

Andrzej Fiksa zmarł 2 kwietnia 1985 r. i jest pochowany razem z żoną, która odeszła kilka miesięcy później, na cmentarzu komunalnym w Złotoryi. Sektor E3, rząd 6, nr grobu 2.

Pozostało po nim parę dokumentów sfotografowanych ponad trzy dziesiątki lat temu. Między innymi chyba ten najważniejszy – Patent Odznaki Pamiątkowej Wojsk Wielkopolskich ustanowionej 14 marca 1920 r. i zatwierdzona Rozporządzeniem Ministerstwa Spraw Wojskowych z dnia 14 maja 1920 r. Stanowiła nagrodę „... dla upamiętnienia zbrojnego odruchu narodowego celem zrzucenia znienawidzonego jarzma pruskiego, i połączenia się z Macierzą, oraz okresu organizacji i działalności Wojsk Wielkopolskich...".

Wprawdzie zatwierdzenie odznaki nastąpiło 14 marca 1920 r., ale w związku z działaniami wojennymi na wschodzie realizacja projektu nastąpiła dopiero na początku 1921.
Patent

Dla upamiętnienia zbrojnego odruchu narodowego celem zrzucenia znienawidzonego jarzma pruskiego, i połączenia się z Macierzą, oraz okresu organizacji i działalności formacji Wojsk Wielkopolskich, zatwierdzono w dniu 14 marca 1920 r. rozporządzeniem M. S. Wojsk. z dnia 14. 5. 20 – 4135 WM Odznakę Pamiątkową Wojsk Wielkopolskich przedstawiającą symbolicznie tradycyjną walkę polskości z krzyżacką butą, barbarzyństwem i przewrotnością w postaci krzyża ośmiokończastego, używanego przez krzyżaków a przekreślonego Bolesławowym Szczerbcem na wpół dobytym z pochwy na znak ustawicznej czujności i gorliwości do walki w obronie Niepodległej Ojczyzny. Zawieszone na ramieniu krzyża zerwane kajdany oznaczają skruszone pęta niewoli. Na znak samodzielności formacji Wojsk Wielkopolskich w okresie 27. grudnia 1918 r. do 21. sierpnia 1919 r. jest pochwa miecza przepasana wstęgą o barwach narodowych i ozdobiona monogramem z liter W. W. (Wojska Wielkopolskie).

Jako przynależnemu do 2. p. Strz. Wlkp. (56. p.p.) przyznano pod numerem 3 128 prawo noszenia Odznaki Pamiątkowej Wojsk Wielkopolskich szereg. Fiksie Andrzejowi ur. dnia 25. 10. 1899 roku Poznań, dnia 5 listopada 1921 r.

Podpisano:
Witkowski por.- Członek
Okoniewski(?) kpt. - Członek
?– Prezes

Na podstawie opracowania z 1984(?) r.
Robert Pawłowski

Wielkopolski Krzyż Powstańczy z 1974 r.

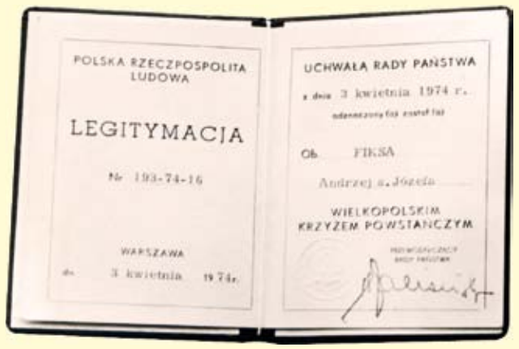

Legitymacja potwierdzająca przyznanie „Krzyża" w 1974 r.

Odznaka Pamiątkowa Wojsk Wielkopolskich z 1920 r.

Patent Odznaki Pamiątkowej Wojsk Wielkopolskich ustanowionej 14 marca 1920 r.

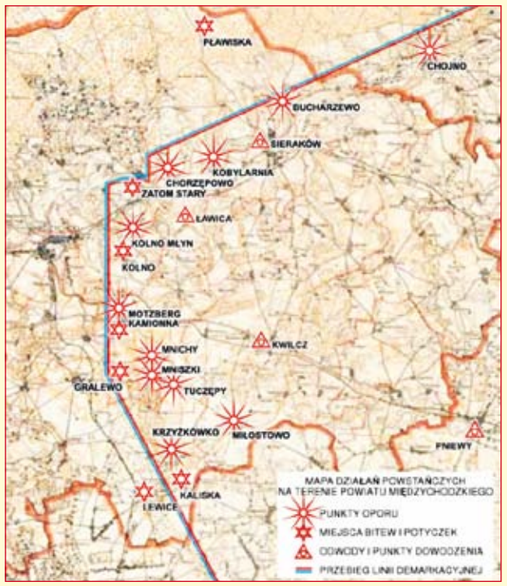

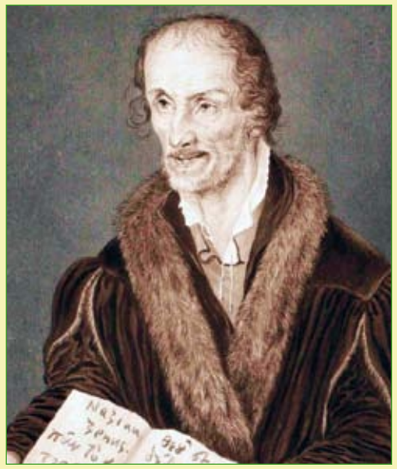

Filip Melanchton - wysłał razem z Georgiem Maiorem list do rajców Złotoryi

Georg Maior - wysłał razem z Filipem Melanchtonem list do rajców Złotoryi

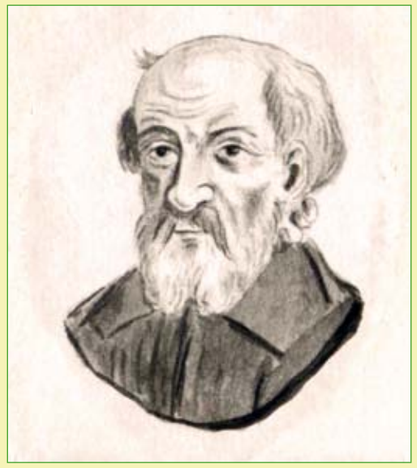

Jakob Monaus - włączył w XVI w. złotoryjski list z 1559 r. do swojej kolekcji archiwaliów

List profesorów uniwersytetu w Wittenberdze z 1559 r. do Rady Miejskiej Złotoryi

Latem 1559 roku społeczność złotoryjska żyła wyborami nowego diakona dla Kościoła. Ta prosta sprawa zaczynała przysparzać władzą miejskim i kościelnym coraz więcej problemów. Nie można było po odejściu Bartholomäusa Gebharda znaleźć długo odpowiedniego zastępstwa i w latach 1553-1559 był wakat na tym stanowisku. Sprawę pomogli załatwić dopiero przyjaciele z Wittenbergi. Rektor uniwersytetu Filip Melanchton oraz dziekan wydziału humanistycznego Georg Maior, wzięli sprawy w swoje ręce i wskazali *bogobojnego, dobrych obyczajów i oddany zgodzie* kandydata.

W sierpniu 1559 r. powiadomili (używając języka wczesno-nowo-wysoko-niemieckiego) Radę Miejską Złotoryi o wyborze na stanowisko diakona w Złotoryi Joana Libnicka z Legnicy:

Wittenberga, 10 sierpnia 1559 r.

Miłościwi, mądrzy i szlachetni Panowie Burmistrz i Rada Starego Znakomitego Miasta Złotoryja, nasi życzliwi Panowie.

Boża łaska przez Jego natchnionemu Syna Jezusa Chrystusa naszego Zbawiciela i prawdziwego wcześniej Wybawcy. Chociaż ja i prosiłem Wielebnego Caspara Hartarta do przyjęcia stanowiska poprzednika, tytułowanego diakonem w kościele: ale on przeprosił i mnie naświetlił przyczynę, dlaczego on obecnie nie zamierza przyjąć powołania, ale dziękuje Waszym Miłością oddany pokornie. Także przeprasza Laurentius Ludovicus z Lwówka Śląskiego. Dlatego też innego Joana Libnicka z Legnicy wybraliśmy, który przez pięć lat był w tym Uniwersytecie i chrześcijańskie nauczanie właściwe rozumie. Jest bogobojny, dobrych obyczajów i oddany zgodzie. Tutaj Jonas zaproponował swoją pomoc w Waszym Kościele i z Bożą pomocą na uroczystość Świętych Aniołów, która zwie się Świętem Michała [29 września], do Złotoryi przybędzie. Wszechmocny Syn Boży Jezus Chrystus, na pewno wieczną ewangelię rozsiewaną przez Kościół, zdoła zachować w waszych i naszych kościołach i we wszystkich kościołach. Godnym pochwały szkołom i Waszym Miłością wszyscy w naszym Uniwersytecie chętnie służymy.

W dzień Laurencjusza 1559
Waszym Miłością oddani.
Georg Maior, Philippus Melanchton

Obsada stanowiska diakona musiała być bardzo istotna. W tym samym dniu (10 sierpnia) Filip Melanchtona wysłał jeszcze list z informacją o wyborze diakona do Henryka Paxmanna (rektora gimnazjum w Złotoryi) oraz do Martina Thabora (nauczyciela gimnazjalnego i byłego rektora złotoryjskiej szkoły).

To krótkie źródło historyczne jest bardzo wartościowe. Dostarcza wyjątkowo dużo nazwisk podanych wprost lub dających się odtworzyć z innych materiałów. I tak, nadawcami listu byli już wspomniani wybitni humaniści, teolodzy, profesorowie uniwersytetu w Wittenberdze - Filip Melanchton (1497 1560) oraz Georg Maior (1502–1574). Odbiorcami Rada Miejska Złotoryi, czyli w 1559 r. burmistrz Valtin Hillger oraz rajcy Lorenz Cirkler (sędzia wyższy), George Vechner (wójt), Hans Helmrich i Taddäus Ranzbach. Odmówili przyjęcia posady diakona: Caspar Hartart ze Złotoryi (wpisany na uniwersytet we Frankfurcie nad Odrą (1552) i Witenberdze (1557), nauczyciel w Złotoryi, potem burmistrz Chojnowa, 2 epitafia rodziny Hartard(t) znajdują się na ścianie zewnętrznej kościoła NNMP w Złotoryi) oraz Ludovici Laurentius (1536-1594) z Lwówka Śląskiego (uczeń Trotzendorfa, filolog, rektor szkoły w Zgorzelcu). Poprzednim diakonem (nie podanym z nazwiska w liście) był Bartholomäus Gebhard. I w końcu ten, który zgodził się objąć zaszczytną funkcję złotoryjskiego diakona - Jonas Libing, zw. też Libisch lub Libnik. Wiemy, że sprawował swój urząd w Złotoryi od października 1559 do 1561 r. Jonas Libing był synem Łukasza Libinga, diakona w kościele Mariackim w Legnicy, wpisał się na uniwersytet we Frankfurcie nad Odrą jako *Jonas Libing Lignicensis* (1546), potem był rektorem szkoły w Brzegu (1550-1551) i w Nysie (1550-1551), diakonem w Złotoryi (1559-1561), diakonem w Lwówku Śląskim (1581 i 1592) oraz kantorem w Wołowie.

Co się dalej działo z listem? Tego typu korespondencja zostawała w ratuszu i była przechowywana w archiwum. List mógł też być wysłany do znajomych w innej miejscowości, żeby pochwalić się przed nimi znakomitymi kontaktami i umiejętnościami w załatwianiu spraw. Wreszcie mógł być wywieziony ze Złotoryi przez historyka-kolekcjonera. Takie praktyki zabierania ciekawszych eksponatów do własnych kolekcji były częste w tym czasie. Tak właśnie stało się z naszym listem. Znalazł się pod koniec XVI wieku w kolekcji Jacoba Monausa (1546-1603), prawnika, uczonego i doradcy księcia legnickiego Joachima Fryderyka. Monaus otrzymywał listy Melanchtona od najwybitniejszych mężów z całej Europy. Ocenia się, że bez jego działań przepadłoby 1000 listów Melanchtona. Dalsze losy źródła są dość pogmatwane i trudno coś pewnego ustalić.

W roku 1902 (343 lata po nadaniu listu) wybitny historyk kościoła, badacz korespondencji z czasów reformacji, profesor Paul Flemming (1858-1922) odnalazł w Bibliotece Sainte-Geneviève w Paryżu (w pakiecie zatytułowanym „listy heretyków") 57 wcześniej nieznanych listów Melanchtona. Wśród nich znajdował się także list wysłany do Złotoryi. Odkrycie wzbudziło duże poruszenie w środowisku badaczy korespondencji Melanchtona i szybko doprowadziło do wydania drukiem listu przez Gerharda Eberleina (1858-1923) w redagowanym przez siebie czasopiśmie *Correspondenzblatt* (Bd. 8, 1902, s. 287-288) oraz przez Paula Flemminga w *Beiträge zum Briefwechsel Melanchthons* (1904, nr 75). W ten sposób zapomniane źródło archiwalne z 1559 r. ujrzało ponownie światło dzienne i stało się dostępnym w bibliotekach źródłem drukowanym.

Źródła listu: G. Eberlein, Ein Brief Melanchtons an den Goldberger Rat, [w:] Correspondenzblatt des Vereins für Geschichte der Evangelischen Kirche Schlesiens, Bd. 8 (1902), s. 287-288; P. Flemming, Beiträge zum Briefwechsel Melanchthons: aus der Briefsammlung Jacob Monaus in der Ste Geneviève bibliothek zu Paris, 1904, s. 65-66, nr 75.

O odkryciu listu donosi: P. Flemming, Th. Kolde, Zum Briefwechsel Luthers und Melanchtons mit Urban Rhegius, [w:] Beitrage Bayerischen Kirchengeschichte, Bd. 8, Erlangen 1902, s. 127-130; W. Hammer, Die Melanchthonforschung im Wandel der Jahrhunderte... (Quellen und Forschungen zur Reformationgeschichte 65), 1996, s. 109.

Damian Komada

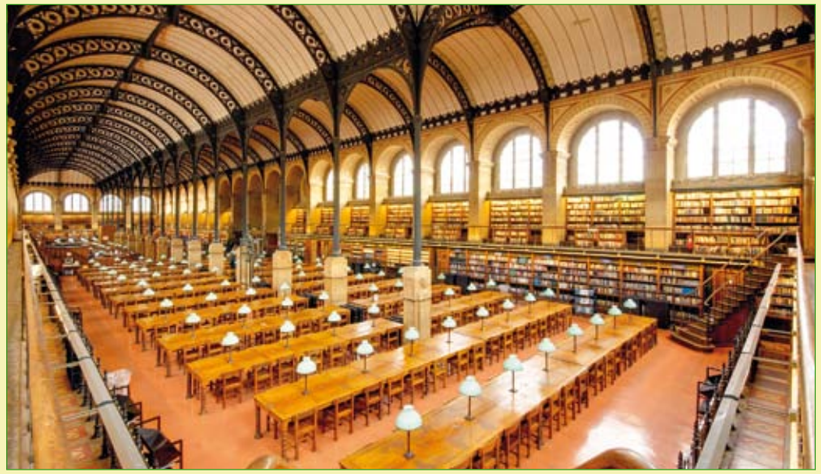

Biblioteka Sainte-Geneviève w Paryżu - tutaj w 1902 r. odnaleziono list wysłany w 1559 r. przez Melanchtona i Maiora do Rady Miejskiej Złotoryi

Gerhard Eberlein - wydał drukiem w 1902 r. list Melanchtona z 1559 r. do rajców Złotoryi

Kącik starej widokówki

Czy to już historia?

W grudniu 1905 r. jeden ze złotoryjan wysłał prezentowaną widokówkę przyjacielowi w Bolkowie (trafiła tam już w tym samym dniu). Pytał co nowego, jak idzie w pracy. Ta rzadka pocztówka jest dla miłośników przeszłości naszego miasta istotnym źródłem historycznym – pokazuje kilka bardzo ważnych obiektów dla komunalnej infrastruktury, powstałych w II połowie XIX wieku. O jakie obiekty chodzi? Gdzie się znajdowały? Czy jeszcze istnieją? Zresztą nadawca celowo wybrał taki motyw – adresat był mistrzem w dziedzinie, z którą związane było to miejsce.

Tadeusz Lubiniecki
Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

Lato z saturatorem

Niech ta fotografia przypomni nam letnie miesiące. Zresztą już niedługo znów będziemy narzekać na upały. Co robimy dzisiaj, gdy one doskwierają? Kupujemy tzw. wodę mineralną, idziemy na lody itp. Były jednak takie czasy, gdy nieodłącznym obiektem w miejskim pejzażu były wózki lub stoiska z wodą gazowaną z sokiem lub bez soku. Jak widać, oblegali je przedstawiciele wszystkich pokoleń. Taki obrazek uchwycono na jednej z ulic naszego miasta, zapewne w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Może uda się czytelnikom rozpoznać osoby oraz miejsce, prosimy o listy lub telefony. Poza tym – komu dzisiaj przeszkadzałyby saturatory? Sanepidowi?

Roman Gorzkowski

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ

30 LAT
1987 - 2017

ECHO ZŁOTORYI

ZŁOTORYJSKI KLUB FOTOGRAFICZNY

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej liczy sobie 30 lat. A każdy rok to wiele inicjatyw skierowanych do mieszkańców naszej Małej Ojczyzny. To kolejne wydania książek, broszur, widokówek i czasopism, to konferencje, i niezliczona ilość przebytych kilometrów podczas rajdów i wycieczek, to tysiące zdjęć, obrazów i różnych przedmiotów wyeksponowanych podczas wystaw.

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej,
59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1,
email: tmzz@tmzz-zlotoryja.pl; tel.: 76 8788137.

TMZZ zdobył tytuł Laureata w VI edycji konkursu zDolne NGO

Niektóre z przedsięwzięć zrealizowanych przez TMZZ w 2017 roku:
Gala Człowieka Ziemi Złotoryjskiej, VI Złotoryjski Przegląd Kultury Kresowej, XVI Powiatowy Dzień Regionalisty, XX Rajd Jadwiżański, Osiem wieków kościoła Mariackiego i kościoła św. Mikołaja, Joannici w historii kościoła NNMP, wystawy historyczne w kościele NNMP i klasztorze franciszkanów, Gala 30-lecia TMZZ, upamiętnienie obeliskiem Marii Wolskiej-Bielskiej i tablicą Mistrzów Świata w Akrobatyce, wydanie „Pamiątek kultu św. Jana Nepomucena w powiecie złotoryjskim", wycieczki szlakiem patronów szkół złotoryjskich, konkurs plastyczny: Zabytki ziemi złotoryjskiej.

* OŚRODEK DOKUMENTOWANIA I OPRACOWYWANIA DZIEJÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ
* ECHO ZŁOTORYI
* BIBLIOTECZKA MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ
* ZŁOTORYJSKI KLUB FOTOGRAFICZNY
* KOŁO KRESOWIAN
* KLUB KOLEKCJONERA
* RAJDY I SZLAKI ŚW. JADWIGI ORAZ ŚW. JAKUBA

GALERIA SPONSORÓW

TO MIEJSCE
CZEKA NA TWOJĄ
REKLAMĘ

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT
"Bazalt" SA w Wilkowie

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO ZŁOTORYJA

Lena
Wilków Spółka z o.o.
PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hudrauliki siłowej
sprzetu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl
lenawilkow@lena.com.pl
tel.+48 768783 480, fax +48 76 8783 212

VITBIS
szklane bombki choinkowe

POAR
Złotoryja

grysy bazaltowe
STONESPOL
* płukanki
* kolorowe
* posypki
* mączki
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

ECHO ZŁOTORYI

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej

Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 („Bacalarus"), tel. 76 8788137,
Internet: www.tmzz.pl, www.facebook.com/echo.zlotoryi, e-mail: echo@tmzz.pl

W pracach redakcyjnych uczestniczyli społecznie: Anna Chrzanowska-Wiewiórska (sekretarz redakcji), Roman Gorzkowski, Beata Jańta (korekta), Jarosław Jańta, Damian Komada (skład), Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Krystyna Rybicka (dystrybucja), Danuta Sosa, Joanna Sosa-Misiak (redaktor naczelna).

Zdjęcie na okładce: Iwona Pawłowska, boczne wejście kościoła pw. NNMP w Złotoryi (portal północny).

Echo Złotoryi jest laureatem Dolnośląskiego Klucza Sukcesu za 2013 rok